Sportowy24
ROŚNIE APETYT NA OLIMPIJSKIE MEDALE/
DAMIAN ŻUREK W GRONIE GŁÓWNYCH FAWORYTÓW IGRZYSK/
WRACA PIŁKARSKA EKSTRAKLASA

POLSKA
METROPOLIA WARSZAWSKA

PONIEDZIAŁEK, 26.01.2026
NR 8 (2519)
CENA 6,00 ZŁ (W TYM 8% VAT)
INFORMACJE Z KRAJU I ZE ŚWIATA **WWW.I.PL**

s.4

Donald Trump obraził sojuszników. Jego słowa o żołnierzach NATO w Afganistanie oburzyły wielu liderów i wojskowych

FOT. PAP/EPA

s.6-7

Prezydencie, okaż łaskę!
Ten człowiek od ponad 20 lat odsiaduje wyrok za morderstwo, którego nie popełnił, co udowodniono

s.12-13

To opowieść o talencie, sławie i tragicznym końcu. Kazimierz Deyna na murawie brylował. W życiu, poza boiskiem, nie zawsze umiał sobie poradzić

FOT. ANNA KACZMARZ

s.3

34 finał WOŚP już za nami.
Tym razem cała Polska zbierała na dzieci z chorobami przewodu pokarmowego

NR ISSN 1898-3081 | NR INDEKSU 349-682

eprasa.pl 99fb02d9a4

AUTOPROMOCJA 0110987190

Zamów **prenumeratę**
Polska Metropolia Warszawa **22 230 20 38**
prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

W piątek **magazyn Puls**

Weronika Książkiewicz przy okazji roli w serialu „Klangor" opowiada nam o tym, jak z aktorki komediowej zamieniła się w aktorkę dramatyczną

Marek Twaróg
red. nacz. Polska Press

MAMY KRYZYS W ZWIĄZKU

Prawdopodobnie porażkę UE odczuwam dotkliwiej. Porażkę, czyli spychanie na margines 500-milionowej wspólnoty ludzi i krajów, która zamiast ciągnąć świat do przodu godzi się na rolę kapciowego u Trumpa. Trumpa pomiatającego Europejczykami, ich krajami, ich przywódcami i - co najważniejsze – ich wartościami.

Wiem doskonale, skąd się to bierze: ta wiara w europejską wspólnotę ufundowana jest zapewne na peerelowskim kompleksie wzmacnianym przez opowieści o dawnej świetności przedwojennej Polski. Uprzejmie proszę więc nie psychologizować nade mną, jest jak jest i mam tego świadomość. Widziałem i widzę w Unii jedyne dobre miejsce dla mojego kraju w sensie wartości. To obecność w Unii miała nam dać - i dała - odbicie po latach gospodarczej zapaści i emocjonalnego wycofania, gdy byliśmy spychani w ruskie rozumienie świata. Widzę w niej więc także projekt tożsamościowy i emocjonalny, a nie jedynie gospodarczy.

Ta wiara mojego pokolenia w UE jest – owszem - często irracjonalna, zapewne nie dostrzegamy wielu ślepych uliczek. Tak czy owak wiara ta istnieje, nie wykluczam, że pewną rolę odgrywa tu też moja śląska tożsamość.

Prawdopodobnie więc porażkę UE odczuwam dotkliwiej. Porażkę, czyli spychanie na margines 500-milionowej wspólnoty ludzi i krajów, która zamiast pchać świat do przodu godzi się na rolę kapciowego u Trumpa. Trumpa pomiatającego Europejczykami, ich krajami, ich przywódcami i - co najważniejsze – ich wartościami. Europa tylko łypie zza węgła na to wariactwo, jakby czekała, że zaraz obudzi się ze snu i znowu będzie jak kiedyś. Ale jak kiedyś już nie będzie. Dzisiejsza słabość krajów Europy w szczególe oraz Unii w ogóle będzie miała swoje konsekwencje także wewnątrz UE. Gdy jeden weźmie Ukrainę, drugi Grenlandię, może ktoś jeszcze coś, mamy już szantażyk biznesowy, szantażyk militarny, cła, wojska, rozbicie NATO, a UE wciąż nie może nic zrobić , wiara we wspólnotę uleci, a triumfy będą święciły idee Farage'a, Brauna, Orbana czy Fico .

Eurostat niezmiennie uspokaja, że wspólnota UE ma się dobrze – że Europejczycy wciąż wierzą w ten ponadnarodowy związek wartości i gospodarek (choć gdy wejdziemy w szczegóły, tak różowo nie jest). Czy jednak nie musi on pokazywać swojej sprawczości? Wiara w Europę i Unię oraz duma z obecności w niej budowana jest na przekonaniu, że wspólnie możemy więcej, że jesteśmy partnerem dla USA, Chin czy także niestety Putina, a nie popychadłem z wciąż aktualną dykteryjką o Kissingerze, który nie wie, z kim ma gadać o Europie.

Jedyne, co dobrego mogłoby dla UE i szerzej Europy pozostać po prezydenturze Trumpa, to odbudowa wiary w siebie zarówno na poziomie instytucji, jak i obywateli. Już nie ma potężnego patrona, co więcej patron ten nagle robi nam wbrew, pora wydorośleć i pokazać sprawczość.

DEMON, KTÓRY SZEPCZE, CO BYĆ MOGŁO, ALE SIĘ NIE STAŁO

Liliana Sonik
publicystka

Choćbyśmy uczniami byli/ najtępszymi w szkole świata,/ nie będziemy repetować/ żadnej zimy ani lata…" - pisała Wisława Szymborska.

Wprawdzie okres świąteczny się skończył, ale na piękne opowieści zawsze jest dobry czas. Przywołam więc historię trzech mnichów, którym ukazał się diabeł. Natychmiast go rozpoznali, więc stanęli jeden obok drugiego gotowi odeprzeć atak. Tymczasem diabeł okazał się całkiem miły i chętny do rozmowy.

- „Jeśli dam wam moc zmiany czegoś z przeszłości, to co byście odmienili?".

Pierwszy nie musiał się długo zastanawiać, bo odpowiedź wydała mu się oczywista: „Nie dopuściłbym żeby Adam i Ewa, a za nimi ludzkość cała, grzeszyli. Wszyscy żyliby niewinni i szczęśliwi". Drugi z mnichów, znany z miłosierdzia, litował się nad Szatanem, więc rzekł do niego: „Zapobiegłbym twojemu oddaleniu od Boga i potępieniu, na jakie się wydałeś".A trzeci nic nie powiedział, tylko się modlił: „Panie, uwolnij mnie od pokusy skupiania się na tym, co mogło być, ale się nie stało".

Słysząc to, diabeł wydał przeraźliwy krzyk i zniknął.

Mnisi nie rozumieli, co się stało, więc poprosili trzeciego o wyjaśnienia. A ten powiedział: „Po pierwsze, nigdy nie wolno rozmawiać z diabłem. Po wtóre, nikt nie ma mocy zmiany czegokolwiek w przeszłości. Po trzecie - w interesie Szatana było uwięzienie nas w przeszłości, abyśmy zapomnieli dbać o teraźniejszość… Bo z wszystkich demonów najwięcej ludzi dopada i uniemożliwia im bycie szczęśliwymi ten, który szepcze, co być mogło, ale się nie stało. Przeszłość zostawmy miłosierdziu Boga, a przyszłość Jego Opatrzności. W naszych rękach jest tylko teraźniejszość". Historię tę opowiadał ks. David Abernethy wiele lat temu. Zapamiętałam, bo wydała mi się mądra i pouczająca. Często bowiem, a już zwłaszcza na przełomie starego i nowego roku, sięgamy wspomnieniami w przeszłość i kreślimy alternatywne scenariusze życia. A gdybym wybrał inne studia? Gdybym się urodziła w innej rodzinie? Gdybym się był ożenił, albo nie ożenił, z tą, a nie inną osobą?

To tylko przykłady z tysięcy możliwych i destrukcyjnych - „co by było, gdyby…". Mnich z opowieści miał rację: takie deliberacje podstawiają nam przed nos lustro z wyimaginowanym obrazem siebie i zamykają w przeszłości, nie pozwalając cieszyć się realnym życiem. Bo przeszłość może stać się więzieniem, pułapką szczelniejszą od krat. A powinna być lekcją. Doświadczenie ma nas przecież kształtować, uczyć mądrości, a nie paraliżować.

Mówi o tym wielka literatura. Mówi też religia proponująca spowiedź z wszystkimi jej warunkami, jako nowy początek i nowe otwarcie. Temu służy też terapia, jeśli jest prowadzona mądrze, uczciwie i konsekwentnie. Skoro nie zmienimy przeszłości, to się nie pozwólmy w niej zagrzebać.

A już chyba najgorszym jest porównywanie się z innymi. Bo jeśli cudze życie nam się wydaje słodkie i bezproblemowe, to znaczy, że ulegliśmy iluzji. Nie ma życiorysów absolutnie komfortowych. Wiedzieli to już starożytni. W piątym wieku przed nasza erą Sofokles ostrzegał, by nie nazywać kogoś szczęśliwym, dopóki nie dokonał żywota.

Jeszcze się styczeń nie skończył, jeszcze możemy mówić o Nowym Roku, zresztą każdy dzień jest nowy. I każdy daje szanse na nową energię.

Jak u Szymborskiej:

„Nic dwa razy się nie zdarza i nie zdarzy. Z tej przyczyny zrodziliśmy się bez wprawy i pomrzemy bez rutyny…".

AGENCI, CZYLI JAK KLITKĘ NAZWAĆ APARTAMENTEM

Tadeusz Płatek
publicysta

Bardzo modne są ostatnio pogramy atakujące tzw. patodeweloperów (albo patofliperów, jeśli w ogóle jest takie słowo), w szczególności zaś skretyniałych agentów nieruchomości, cynicznie nazywających klitki apartamentami.

Internet aż kipi od komentatorów, przywołujących absurdalne oferty mieszkaniowe i ich promotorów. Chętnie do tego hejtu dołączę, uważam bowiem zawód pośrednika za pasożytniczy, zawód, w którym nadreprezentowani są cwaniacy i cwaniary, którym brak wiedzy na temat pokazywanych ofert.

Nie wiem czy mieliście kontakt z agentami. O ich irytujących rytuałach napisać powieść mógłby nie tylko Mrożek czy Masłowska, ale nawet przeciętnie uzdolniony maturzysta.

Oni robią z siebie tak nieprawdopodobnych pajaców, że książka powstałaby szybciej niż księga wieczysta. W każdym razie, jeżeli kiedykolwiek będziecie musieli z usług takiego agenta skorzystać, gdy podpiszecie z nim umowę pośrednictwa, gdy już was zaprowadzi na miejsce i otworzy usta, by mamrotać bzdury - poproście o jedną rzecz: „Proszę mi opowiedzieć wyłącznie o rzeczach, których nie mogę zobaczyć". W większości przypadków zaklęcie to sprawi, że agent się zamknie, co już jest sporym sukcesem, bo będziemy mogli zobaczyć lokal w spokoju.

Jeśli go o to nie poprosicie, to proszę: książko, pisz się sama!

- O, właśnie tu mamy kuchnię. Widok z tego okna jest bardzo ładny, na dole widać park.

- Boże, dziękuję Panu, że mi Pan powiedział. Ja się boję okien. Pewnie bym to okno przeoczył, nie mówiąc już o wyglądaniu.

- Bardzo jest ładny ten kolor na ścianach, mi się strasznie podoba.

- A mi się nie podoba.

- Oj, to szkoda, no ale o gustach się nie dyskutuje. Zresztą, można zawsze przemalować.

- To naprawdę możliwe? To wprost cudownie!

- A tu mamy przedpokój, gdzie, jak widać, jest dużo półek, szafek i szuflad. Można tam dużo rzeczy schować.

- Co na przykład?

- Nie wiem. Jakieś buty?

(Cytaty są prawdziwe)

To zaklęcie to sprawi, że agent się zamknie, co już jest sporym sukcesem, bo będziemy mogli zobaczyć lokal w spokoju

eprasa.pl 99fb02d9a4

34. NIEDZIELA Z ORKIESTRĄ

Wczoraj na ulice polskich, ale także wielu zagranicznych miast wyszli wolontariusze WOŚP z czerwonymi serduszkami. Zbierali pod hasłem: „Zdrowe brzuszki naszych dzieci”

Karolina Wrońska

W niedzielnej kwestie pod hasłem „Zdrowe brzuszki naszych dzieci” wzięło udział 120 tys. wolontariuszy, zrzeszonych w prawie 1,7 tys. sztabach (w tym prawie stu zagranicznych). W wielu miastach odbywały się koncerty i aukcje. Pieniądze można było wrzucać również do wirtualnych puszek, tzw. e-skarbonek. Wystawiono też kilkadziesiąt tys. aukcji internetowych.

Studio na błoniach PGE Stadionu Narodowego, skąd imprezą kierował prezes WOŚP Jerzy Owsiak, kolejny raz było centralnym miejscem finału. Można je było odwiedzać od rana. Tam też (i na powietrzu) odbywały się koncerty.

W Warszawie zagrali m.in. Łydka Grubasa, Myslovitz i Dżem. O godz. 20 - jak zwykle - wypuszczono tradycyjne „Światełko do Nieba”.

FOT. PAP/LESZEK SZYMAŃSKI

– Zamierzamy kupić sprzęt, który pchnie możliwości leczenia chorób układu pokarmowego dzieci mocno do góry – mówi Jerzy Owsiak

FOT. FOT.DARIUSZ BLOCH

Pogoda w Bydgoszczy nie dopisywała, bo padał śnieg. Ale na ulice wyjechały nawet maluchy

FOT. ROBERT WOŹNIAK

W Poznaniu w aukcji uczestniczył Groku i Mandalorianin

FOT. PIOTR KRZYŻANOWSKI

W Wrocławiu do kwesty dołączyłu nawet małe pieski

FOT. PAP/TOMASZ GZELL

Dzielnie zbierali (pod opieką rodziców) nawet najmłodsi wolontariusze

FOT. ANNA KACZMARZ

W Krakowie morsowano dla WOŚP

eprasa.pl 99fb02d9a4

AFGANISTAN I SOJUSZNICY Z NATO OCZAMI DONALDA TRUMPA

To nie był szok, raczej oburzenie i niesmak. Donald Trump nawet dla liderów konserwatywnych partii powoli staje się problemem. Tym razem prezydent USA postanowił podsumować Afganistan i sojuszników z NATO

Dorota Kowalska

Donald Tump nie zwalnia tempa: cła, porwanie prezydenta Wenezueli, bój o Grenlandię, ostre słowa skierowane w stronę światowych liderów. Teraz przyszedł czas na Afganistan i sojuszników z NATO

- Nigdy ich nie potrzebowaliśmy. Powiedzą, że wysłali wojska do Afganistanu i rzeczywiście tak zrobili, ale pozostawali nieco z tyłu, z dala od linii frontu - stwierdził Trump w wywiadzie dla Fox News.

Przypomnijmy, do Afganistanu, obok sił Stanów Zjednoczonych, wkroczyły wojska wielu państw NATO w bezpośredniej odpowiedzi na zamachy terrorystyczne z 11 września 2001 roku. Wówczas po raz pierwszy i jedyny w historii Sojuszu uruchomiono Artykuł 5. Traktatu Waszyngtońskiego, uznając atak na USA za napaść przeciwko wszystkim państwom członkowskim. Głównym celem misji było rozbicie Al-Kaidy oraz odsunięcie od władzy Talików tak, aby Afganistan przestał służyć jako baza dla organizacji terrorystycznych. Obecność zachodnich sojuszników w Afganistanie trwała blisko 20 lat. Na misji w Afganistanie zginęło ponad 3500 żołnierzy koalicji, najwięcej z nich, bo blisko 2500 Amerykanów, ale życie straciło też 457 Brytyjczyków, 158 Kanadyjczyków i 43 Duńczyków, 43 żołnierzy Wojska Polskiego oraz jeden cywilny pracownik resortu obrony.

Premier Wielkiej Brytanii Keir Starmer określił wypowiedzi Donalda Trumpa jako „obraźliwe i przerażające" i wezwał amerykańskiego prezydenta do przeprosin.

- Wypowiedzi prezydenta Trumpa są obraźliwe i naprawdę przerażające. Nie dziwi mnie, że tak bardzo zraniły bliskich osób zmarłych i rannych (w Afganistanie - red.) - stwierdził w piątek Keir Starmer. - Gdybym ja się przejęzyczył w taki sposób lub powiedział takie słowa, to z pewnością bym za nie przeprosił - dodał.

Emily Thornberry, szefowa parlamentarnej Komisji Spraw Zagranicznych, o słowach Trumpa powiedziała, że to obraza dla rodzin poległych i „znacznie więcej niż pomyłka".

FOT. PIOTR WARCZAK

W trwającym 20 lat konflikcie zginęło ponad 3500 żołnierzy NATO. W Afganistanie życie straciło też 44 Polaków – 43 żołnierzy i jeden cywil

- Jak śmiał twierdzić, że nie byliśmy na pierwszej linii frontu, jak śmiał? Zawsze byliśmy tam, gdzie Amerykanie nas potrzebowali, zawsze tam byliśmy - stwierdziła Thornberry w rozmowie ze stacją BBC.

Liderka opozycyjnej Partii Konserwatywnej Kemi Badenoch też nie przebierała w słowach.

„Twierdzenie Trumpa, że sojusznicy NATO 'nie byli na pierwszej linii frontu' w Afganistanie, jest kompletnym nonsensem. Brytyjscy, kanadyjscy, NATO-owscy żołnierze walczyli i ginęli u boku Stanów Zjednoczonych przez 20 lat. To fakt, nie opinia. Ich poświęcenie zasługuje na szacunek, a nie znieważanie" - napisała na X.

Robert Jenrick z prowadzącej w sondażach prawicowo-populistycznej partii Reform UK określił słowa amerykańskiego prezydenta jako „obraźliwe i nieprawdziwe". Lider Liberalnych Demokratów Ed Davey przypomniał na X, że Trump sam pięciokrotnie uniknął służby wojskowej, i zapytał, „jak śmie kwestionować ofiarę (żołnierzy NATO poległych w Afganistanie - PAP)".

„Donald Trump może się pier... Każdy, kto wyśmiewa, poniża lub bagatelizuje poświęcenie brytyjskich żołnierzy, nie jest przyjacielem naszego narodu. Stany Zjednoczone są historycznym przyjacielem Wielkiej Brytanii - ten facet nim nie jest" – to Josh Babarinde, jego partyjny kolega.

Do słów Trumpa odniósł się także brytyjski książę Harry, który służył w Afganistanie.

„W 2001 roku NATO po raz pierwszy - i jedyny - w historii powołało się na Artykuł 5. Oznaczało to, że każdy sojusznik był zobowiązany do wsparcia Stanów Zjednoczonych w Afganistanie, dążąc do wspólnego bezpieczeństwa. Sojusznicy odpowiedzieli na to wezwanie. Służyłem tam. Znalazłem tam przyjaciół na całe życie. I straciłem tam przyjaciół. Sama Wielka Brytania straciła 457 żołnierzy" - przekazał książę Harry, syn króla Karola III, w oświadczeniu cytowanym przez BBC. „Tysiące istnień ludzkich zmieniło się na zawsze. Matki i ojcowie chowali synów i córki. Dzieci zostały bez rodziców. Koszty ponoszą rodziny. O tych ofiarach należy mówić szczerze i z szacunkiem, ponieważ wszyscy pozostajemy zjednoczeni i lojalni w obronie dyplomacji i pokoju" - podsumował książę Sussexu.

W brytyjskich mediach pojawiły się oburzone głosy weteranów i rodzin poległych żołnierzy, podobnie w Kanadzie.

Najwyraźniej usłyszano je za oceanem. Don Bacon zasiadający w amerykańskim Kongresie z ramienia republikanów stwierdził, że Trump się „myli" ponieważ „najprawdopodobniej nie zna prawdy".

- Wiem z pierwszej ręki, że nasi europejscy sojusznicy walczyli z nami ramię w ramię w Afganistanie i Iraku i stracili wielu wspaniałych synów i córek - stwierdził Bacon.

W podobnym tonie wypowiedział się gen. Sami Sadat, który niegdyś był dowódcą afgańskich sił specjalnych.

- Prezydent Trump myli się co do wsparcia NATO w Afganistanie. Wiele państw NATO walczyło u boku Afgańczyków – powiedział wojskowy.

Słowa Donalda Trumpa rozbrzmiały także na naszym rodzimym podwórku. W piątkowy wieczór odniósł się do nich Karol Nawrocki.

„Nie ma wątpliwości, że Polscy żołnierze to Bohaterowie. Zasługują na szacunek i słowa podziękowania za ich służbę. W Afganistanie poległo 44 odważnych Polaków: 43 żołnierzy i cywil. Na zawsze zostaną w naszej pamięci!" - napisał prezydent RP.

Ale chyba nie takiej reakcji polskiego prezydenta oczekiwał wicepremier i minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski.

„Zwierzchnik sił zbrojnych na pewno upomni się o honor naszych żołnierzy" - napisał Sikorski na platformie X i dołączył do wpisu zdjęcie prezydenta Karola Nawrockiego i Donalda Trumpa z ich niedawnego spotkania w Davos.

„Znam Afganistan z młodości. Byłem tam także jako szef MON i MSZ. Prowincja Gazni, gdzie służył nasz kontyngent, na pusztuńskim południu, była frontowa, 7/10 na afgańskiej skali trudności i niebezpieczeństw. Nikt nie ma prawa drwić ze służby naszych żołnierzy" - dodał szef MSZ.

Premier Tusk napisał, że 22 grudnia 2011 roku w afgańskim Ghazni uczestniczył jako premier Polski w pożegnaniu pięciu poległych polskich żołnierzy. Towarzyszący mu wówczas amerykańscy oficerowie mówili, że Ameryka nigdy nie zapomni polskich bohaterów.

„Może przypomną o tym prezydentowi Trumpowi" - przekazał na portalu X premier Donald Tusk.

Polscy weterani, podobnie jak ci brytyjscy czy kanadyjscy, też nie kryli oburzenia.

- Kotłowały się we mnie takie mieszane uczucia. Z jednej strony irytacja, a z drugiej wielka złość - mówił w rozmowie z TVN24 gen. rez. Janusz Bronowicz, były dowódca polskiego kontyngentu w Afganistanie. - Pamiętam śmierć naszego kolegi, który na mojej zmianie poległ, kaprala Michała Kołka. Uważam, że on nie poległ na tyłach, na drugiej linii. Poległ na pierwszej linii wykonywania swoich zadań, jakie zgodnie z misją Sojusz Polakom powierzył - tłumaczył generał.

I dodał, że w ten sposób Trump „stawia w wątpliwość dokonania sojuszników".

- To cynizm tchórza, który sam na pierwszej linii nie był - wtórował mu były dowódca jednostki specjalnej GROM gen. Roman Polko.

Najwidoczniej przyszła refleksja, bo prezydent Stanów Zjednocznych i premier Wielkiej Brytanii przeprowadzili w sobotę rozmowę telefoniczną. Jeszcze tego samego dnia Trump wyraził uznanie dla brytyjskich żołnierzy walczących u boku Amerykanów w Afganistanie.

„Wspaniali i niezwykle odważni żołnierze Wielkiej Brytanii zawsze będą ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki! W Afganistanie 457 (z nich) poległo, wielu było poważnie rannych i należeli do najwspanialszych ze wszystkich żołnierzy" - napisał na platformie Truth Social. „Wojsko Wielkiej Brytanii, o ogromnym sercu i duszy, nie ma sobie równych (poza Stanami Zjednoczonymi!). Kochamy Was wszystkich i zawsze będziemy kochać! - dodał Trump, podkreślając, że sojusz tych państw „to więź zbyt silna, by można ją było kiedykolwiek zerwać".

Pojawiły się jednak głosy, że Trump powinien przeprosić także innych służących w Afganistanie. Stowarzyszenie Rodzin Poległych Żołnierzy „Pamięć i Przyszłość" poinformowało, że skierowano do Donalda Trumpa list otwarty. „Z ogromnym bólem w sercach przyjmujemy dziś słowa prezydenta Stanów Zjednoczonych jako okrutny sygnał, iż ofiara naszych synów i mężów była niepotrzebna" (...) - napisano.

Stowarzyszenie wyraziło oczekiwanie, że Donald Trump sprostuje swoje słowa. Jednocześnie zwrócono się do prezydenta Karola Nawrockiego z prośbą o interwencję w tej sprawie i „zajęcie jednoznacznie negatywnego stanowiska wobec krzywdzącej wypowiedzi" Trumpa.

Petycję złożono także do Ministerstwa Spraw Zagranicznych z prośbą o „podjęcie interwencji dyplomatycznej w obronie dobrego imienia polskich żołnierzy poległych na misjach poza granicami państwa".

Sytuację próbuje łagodzić ambasador Stanów Zjednoczonych w Polsce Thomas Rose, który pisze, że „Polska nie ma większego przyjaciela niż Donald Trump", a prezydent USA docenia zaangażowanie naszego kraju w NATO oraz służbę w Iraku i Afganistanie.

Może i tak, ale niesmak pozostał.

PAP

eprasa.pl 99fb02d9a4

BŁĄD MEDYCZNY PRZY PORODZIE. DLACZEGO TE PROCESY TRWAJĄ LATAMI?!

Dopiero po 5 latach walki pani Katarzyna wywalczyła zadośćuczynienie od szpitala w Inowrocławiu za błąd okołoporodowy - w drogach rodnych pozostawiono jej gazik. Inne matki walczą w sądach jeszcze dłużej

Małgorzata Oberlan

Datę 12 stycznia 2026 r. - pani Katarzyna i reprezentujący ją od początku sprawy adwokat Mariusz Lewandowski zapamiętają na pewno. Tego dnia Sąd Rejonowy w Inowrocławiu ogłosił wyrok w sprawie „matka kontra szpital i ubezpieczyciel". Przyznał 20 tys. zł z odsetkami zadośćuczynienia (razem około 30 tys. zł) za złamanie praw pacjentki przy porodzie.

Być może ten wyrok batalię matki zakończył. Ale... Jeśli lecznica będzie apelować, sprawa trafi do sądu wyższej instancji. A to może oznaczać przynajmniej kolejny rok walki o sprawiedliwość. Tymczasem sprawa pani Katarzyny nie jest ani żadną rekordową, jeśli chodzi o kwotę sporu (domagała się 40 tys. zł), ani niezwykle skomplikowaną - bywają trudniejsze.

Dlaczego zatem ten proces, jak i wiele podobnych w Kujawsko-Pomorskiem i Polsce, musiał trwać tak długo? Kluczowym elementem w sprawach dotyczących błędów medycznych są opinie biegłych. A tych brakuje. Ponieważ spraw w sądach tylko przybywa, ci, którzy działają, dosłownie zasypywani są zleceniami. Potem często sąd chce ich jeszcze dosłuchać, mieć do dyspozycji opinie uzupełniające, bo lecznice i ubezpieczyciele, broniąc się przed odpowiedzialnością, starają się podważać ekspertyzy. I lata mijają...

- Tak było też w sprawie pani Katarzyny. Sąd inowrocławski czuwał nad terminowością wszystkich czynności sądowych, ale sporządzanie opinii przez biegłych wydłużało całe postępowanie - mówi adwokat Mariusz Lewandowski z Torunia.

Gazik

Nasi Czytelnicy być może historię pani Katarzyny pamiętają. Opisujemy ją od ponad 5 lat - od czasu porodu (2020 r.), jego skutków, zgłoszenia szkody ubezpieczycielowi, przez rozpoczęcie procesu (2021 r.) i jego kolejne odsłony. Przypomnijmy już tylko w skrócie.

W 2020 r. inowrocławianka w miejscowym szpitalu rodziła swoje pierwsze dziecko. Przy porodzie syna pani Katarzynie pozostawiono w drogach rodnych gazik/tampon. Okazało się po czasie - gdy po bólach i cierpieniach „urodziła" ten opatrunek. Lecznica, według relacji kobiety, bagatelizowała wcześniej zgłaszane przez nią bóle. Radzono łagodzić je np. przykładaniem butelek z zimną wodą. Tymczasem okazało się, że w drogach rodnych matki zaszyto opatrunek...

Ubezpieczyciel szpitala w Inowrocławiu uznał krzywdę pani Katarzyny. Stwierdził jednak, że wystarczy jej 2500 zł odszkodowania i tyle przelał na konto. Kobieta nie odpuściła i pozwała Towarzystwa Ubezpieczeń Wzajemnych PZUW na drodze cywilnej o 40 tys. zł zadośćuczynienia. Stąd właśnie cała sprawa i proces.

W procesie Sąd Rejonowy w Inowrocławiu przesłuchał wielu świadków, w tym lekarzy. Zgromadzono obszerną dokumentację; była też już opinia jednego biegłego. Dopiero jednak w 2025 r. (tak!) doczekano się ekspertyzy specjalisty z dziedziny ginekologii i innych - biegłej sądowej prof. dr hab. n. med. Elżbiety Sowińskiej-Przepiery, ginekologa-położnika i endokrynologa ze Szczecina. Jej treść i konstatacje były przełomem w sprawie.

Opinia biegłej, wydana w maju 2025 r., była obszerna i drobiazgowa. Jej najważniejsza chyba konstatacja brzmiała tak. „Z prawdopodobieństwem bliskim pewności do pozostawienia tamponu w pochwie położnicy doszło w czasie wykonywania operacji szycia krocza w godzinach 00:25 - 01:11 4.02. 2020 r." (czyli przy porodzie - przyp.red.) - stwierdziła prof. Sowińska-Przepiera.

Dalej biegła jasno wskazała, jak do błędu doszło. „Pozostawienie tamponu w pochwie położnicy nie było wynikiem zaniechania, lecz spowodowane zostało nieuwagą operatora przy podstawowej kontroli pola operacyjnego po zakończeniu szycia krocza oraz niewłaściwym zabezpieczeniem tamponu, wymagającego pozostawienie wskaźnika na zewnątrz pochwy (na przykład nici przywiązanej do tamponu)" - opisała.

12 stycznia br. sąd przyznał pani Katarzynie 20 tys. zł zadośćuczynienia za złamanie jej praw pacjentki wraz z odsetkami, co w praktyce oznacza około 30 tys. zł do wypłaty. Pozwanymi byli wspólnie szpital i ubezpieczyciel.

FOT. PIXABAY/ZDJĘCIE ILUSTRACYJNE

Spraw o błędy medyczne, z tymi okołoporodowymi włącznie, przybywa. Biegłych brakuje i oczekiwanie na ich opinie przeciąga sądowe procesy

Milionowe kwoty i ośmioletnie procesy

Pani Katarzyna wyrok przyjęła z satysfakcją i ulgą. Jej prawnik natomiast podkreślał, że „od początku tutaj nie chodziło głównie o pieniądze". Najważniejszym było, by głos pokrzywdzonej kobiety został przez sąd wysłuchany.

Inowrocławianka szczęśliwie nie doznała trwałych powikłań na zdrowiu. Na przestrzeni minionych lat po raz drugi została mamą. Są jednak sprawy w regionie i kraju, gdzie błąd okołoporodowy oznacza np. głęboką niepełnosprawność dziecka, najczęściej po niedotlenieniu. I tutaj sądowe boje toczą się jeszcze dłużej, a gra toczy się o miliony.

Tak było w sprawie dotyczącej szpitala w Lipnie. Błąd przy porodzie, który popełnił personel lecznicy, skazał dziecko na głęboką niepełnosprawność do końca życia - uznał sąd. Dziewczynce i matce przyznał 900 tys. zł zadośćuczynienia z odsetkami liczonymi od 2015 roku, odszkodowanie i rentę. Razem - ponad milion zł.

Poród miał miejsce w 2015 r. dziś dziewczynka jest głęboko niepełnosprawna od urodzenia i taką pozostanie do końca życia. Nie siada, nie wstaje, nie mówi, nie przełyka, wymaga zakładania pampersów, cierpi na całkowitą ślepotę obu oczu. Według biegłych, nie ma rokowań na jakąkolwiek poprawę.

Stan dziecka jest wyłącznie wynikiem błędu medycznego szpitala: zaprzestania monitorowania tętna płodu przez KTG i zbyt późno wykonanego cięcia cesarskiego, przy wymuszaniu porodu naturalnego - uznali biegli z Collegium Medicum UJ w Krakowie i Sąd Okręgowy we Włocławku. Ten wyrok ogłoszono w grudniu 2023 roku, a więc bój o sprawiedliwość trwał 8 lat! Na tym się zakończył, bo szpital nie apelował.

W dwóch sądowych instancjach natomiast - także przez 8 lat łącznie - walczyć o zadośćuczynienie musieli rodzice niepełnosprawnej dziewczynki z Warmińsko-Mazurskiego. Wyroku prawomocnego, głośnego w całym kraju, doczekali się w maju 2025 r. Ich dziecko miało wtedy 14 lat. Dziewczynka jest poważnie niepełnosprawna intelektualnie, wymaga stałej opieki i pomocy, a rokowania są niekorzystne. Jej stan jest wynikiem błędu przy porodzie - to już wiadomo.

Najpierw był 7 lat trwający proces przed Sądem Okręgowym w Olsztynie. Potem - odwołanie się pozwanego wyżej. Ostatecznie Sąd Apelacyjny w Białymstoku w ubiegłym roku przyznał 1 mln zł zadośćuczynienia, ponad 117 tys. zł odszkodowania i miesięczną rentę dla dziewczynki za błędy medyczne przy odbieraniu porodu.

Kolejne przykłady można by mnożyć - takie procesy ciągną się w polskich sądach długimi latami. Problem z biegłymi tymczasem pozostaje nierozwiązany, więc szans na rychłą poprawę w tej materii brak.

Wielki problem z biegłymi

Szczególnie w sprawach o błędy medyczne (nie tylko te okołoporodowe) dramat z biegłymi w Polsce widać wyraźnie. Jest ich coraz mniej, bo stawki od dawna nie zachęcają lekarzy do podejmowania się tej roli. Prosta ona nie jest, bo wiąże się z odpowiedzialnością, ale też i czasowym zaangażowaniem - choćby byciem gotowym na wezwanie sądu.

Ci, którzy opiniowaniem się jeszcze zajmują, nierzadko bywają emerytami. Zarzuty, że stan wiedzy niektórych ekspertów nie przystaje do aktualnego, słychać od dawna.

- Im bardzie charakterystyczna jest specjalizacja biegłego w sprawach medycznych, tym czekanie na opinię jest dłuższe, bowiem specjalistów jest niewielu, a nadto nie wszyscy chcą działać jako biegli sądowi z uwagi na goniące terminy sporządzenia opinii, a przede wszystkim „ryzyko" wezwania biegłego do udziału w rozprawie. Stąd biegłych jest niewielu i są zarzucani zapytaniami o opinie w zasadzie z całej Polski. To przesądza o prolongowaniu przez nich sporządzania ekspertyz i wydłuża czas trwania postępowania sądowego. Tym bardziej, że niejednokrotnie strony mają zarzuty do opinii, co skutkuje dopuszczeniem opinii uzupełniającej i koło dalej się kręci... - takie obserwacje z własnego doświadczenia ma adwokat Mariusz Lewandowski.

Problem z biegłymi jest złożony i wymaga działań na kilku polach. Kolejne ekipy rządzących wiedzą o tym od dawna, a ustawa o biegłych zapowiadana jest od lat. Ba, była nawet realna szansa na to, że gotowy już projekt zacznie obowiązywać od stycznia 2026 roku. Ale znów się nie udało...

W nowym prawie mowa jest, w największym uproszczeniu, nie tylko o nowym systemie certyfikacji biegłych, ale też ich wynagradzaniu. Zakładano określenie kwoty bazowej, stanowiącej podstawę ich stawki godzinowej, ale interweniował minister finansów, postulując rozłożenie podwyżek na kilka lat.

Ostatnie doniesienia, z początku stycznia br., są takie, że projekt ustawy poddawany jest jeszcze konsultacjom wewnętrznym, w grupach roboczych. „Mamy nadzieję, że w niedługim czasie projekt zostanie przekazany do konsultacji zewnętrznych. Wiemy, że zainteresowanie, także ze strony biegłych, jest ogromne, czekają na tę ustawę" - przekazał resort sprawiedliwości portalowi Prawo.pl.

Oczywiście, samo wejście w życie ustawy niczego od ręki nie zmieni. Wyczekiwane przepisy powinny jednak uregulować na nowo m.in. to, kto może uzyskać wpis na listę biegłych. Przyzwoite stawki za pracę, z gwarancją waloryzacji, winny z kolei w jakiejś perspektywie grono ekspertów opiniujących powiększyć.

A na razie - jest, jak jest. Spraw o błędy medyczne, z tymi okołoporodowymi włącznie, tylko przybywa. Biegłych brakuje i oczekiwanie na ich opinie przeciąga sądowe procesy. Rząd PiS uruchomił w styczniu 2022 r. Instytut Ekspertyz Medycznych, który miał być receptą na te bolączki. W praktyce nie zmieniło się nic. ©℗

eprasa.pl 99fb02d9a4

Mama Piotra trzykrotnie słała wnioski do Kancelarii Prezydenta RP Andrzeja Dudy o łaskę dla swojego syna. I trzykrotnie tej łaski odmawiano, choć do wniosków dołączane były przychylne dla nich opinie Sądu Okręgowego w Rzeszowie i tutejszego sądu apelacyjnego. Z końcem grudnia 2024 r. do Kancelarii Prezydenta RP trafił czwarty wniosek, znów z poparciem obu rzeszowskich sądów. Co zrobi Karol Nawrocki?

Andrzej Pleś

PREZYDENCIE, OKAŻ ŁASKĘ! TEN CZŁOWIEK OD PONAD 20 LAT ODSIADUJE WYROK ZA MORDERSTWO, KTÓREGO NIE POPEŁNIŁ

Już ponad 20 lat Piotr P. z Rzeszowa tkwi za kratami zakładu karnego za zabójstwo, którego nie popełnił, na co wskazują niezbite dowody. W 2004 r. pracował w Niemczech, tam poznał Tomasza Lisa, którego - jak później się okazało - zbrojna grupa przestępcza przysłała z Polski do Monachium celem kradzieży obrazu, jakiej miał dokonać w jednej z tutejszych galerii. Do kradzieży ostatecznie nie doszło, ale Lis nie chciał zrezygnować z przestępczego zarobku w Niemczech, napadł na Salo Wolfa, właściciela kamienicy, w której niegdyś zamieszkiwał Piotr P. Wybrał dzień, w którym kamienicznik, niegdyś więzień obozu w Auschwitz, zbierał czynsz od swoich najemców. Dopadł staruszka na szczycie schodów w kamienicy, potężnym uderzeniem pięści powalił na podłogę, starszy pan bezwładnie potoczył się ze szczytu schodów na sam dół, że w ogóle przeżył, zakrawa na cud. Lis ani myślał udzielić mu pomocy, zabrał kopertę z już odebranym od lokatorów czynszem i zniknął.

Potem była kradzież w jednym z lokali gastronomicznych, który spenetrował nocą po jego zamknięciu. Kiepski to był łup, kolejny pomysł miał być bardziej intratny: napad rabunkowy na luksusową prostytutkę. Pierwsza próba nie udała się, Lis pogubił się w budynku, w którym zamieszkiwała kobieta, nie zdołał odnaleźć właściwego mieszkania. Nie zraził się, zdobył numer telefonu do innej - Ekaterina przyjmowała klientów w domu i do niej Lis dotarł już bez problemu. Z pomocą Piotra P., który znał topografię miasta. Razem skorzystali z komunikacji miejskiej, Piotr wskazał, na którym przystanku mają wysiąść, na przystanku pozostał i tu czekał na powrót Lisa. Plan był taki: umówiony „na usługę" napastnik wchodzi do mieszkania ofiary, obezwładnia ją, lokal opróżnia ze wszystkiego, co cenne i co można bez problemu wynieść, po czym znika. I wszystko poszło nie tak. Wprawdzie Ekaterina czekała na klienta, jej ośmiomiesięcznej córeczki i męża, który nie wiedział, w jaki sposób żona zarabia, nie było, Lis stanął w drzwiach mieszkania, lewą ręką podał kobiecie kwiat - jak zaplanował - prawą uderzył w twarz, po czym skatował kobietę do nieprzytomności, czego nie planował.

- Z tą prostytutką było tak, że ja wszedłem do mieszkania, a Piotr P. czekał na mnie na zewnątrz - zeznawał po latach przez tarnobrzeskim Sądem Okręgowym. - W lewej ręce trzymałem kwiatek, podałem jej. Kiedy tylko chwyciła, prawą uderzyłem ja w twarz. Potem kopnąłem i znów uderzyłem. Był moment, że biłem ją tak, jakby mnie coś opętało. Kiedy wychodziłem z łupem z jej mieszkania, ona żyła. Tak głośno oddychała, przykryłem ją kołdrą. Nie mogłem domyć rąk z krwi, czułem taki słodki zapach.

Kiedy z łupem wychodził z mieszkania, kobieta jeszcze żyła, dzień później niemieckie media podały, że policja znalazła Ekaterinę martwą. Lis wrócił do Polski, wkrótce potem policja zatrzymała Z., kolegę Piotra, ten Piotra „wystawił", dla policji dowodem były bilingi rozmów telefonicznych i logowanie się telefonów obydwu do stacji BTS w pobliżu mieszkania Ekateriny. Sprawę Z. niemiecki sąd wyłączył do osobnego postępowania, Tomasza Lisa niemiecka policja nie zdołała odnaleźć, do tymczasowego aresztu trafił za to Piotr P.

PIOTR OD 2004 ROKU JEST POZBAWIONY WOLNOŚCI (...) STRACIŁ ZDROWIE, MA STWIERDZONEGO NIEOPERACYJNEGO GUZA NA TARCZYCY, ZAAWANSOWANĄ ASTMĘ

Kara bez zbrodni, wyrok bez dowodów

Potem było oskarżenie o morderstwo na Ekaterinie, rabunek ze skutkiem śmiertelnym i rabunek, na końcu wyrok dożywotniego pozbawienia wolności. Żadnych dowodów na to, że Piotr zamordował, żadnych śladów linii papilarnych, śladów DNA w mieszkaniu kobiety. Jedynie zeznanie Nigeryjczyka Paula Lufingo, którego Piotr poznał w areszcie śledczym i zwierzył mu się ze swoich problemów. Lufingo zapewne widział to wydanie Tageszeitung, w którym zamieszczono fotografię Piotra, informacje o zabójstwie i ofertę: 10 tys. euro za informację, która może coś wnieść do tej sprawy sądowej. Lufingo, skuszony nagrodą i z obawy przed deportacją, stawił się ostatniego dnia procesu w sądzie, pogrążając Piotra ostatecznie swoimi zeznaniami. A ten od początku i konsekwentnie nie przyznawał się do zabójstwa, ani do tego, by kiedykolwiek był w mieszkaniu Ekateriny, jego zapewnieniom, że Lufingo łże jak pies, nikt nie wierzył. Wielokrotnie i bezskutecznie domagał się przebadania go wariografem, przesłuchiwano go bez udziału tłumacza przysięgłego, ostatecznie w tym poszlakowym procesie w Monachium w 2006 roku zapadł wyrok skazujący: dożywotnie pozbawieni wolności. Na pocieszenie niemiecki sędzia uświadomił mu, że w 2019 roku będzie mógł ubiegać się o przedterminowe zwolnienie. Piotr w niemieckim więzieniu spędził łącznie pięć lat, w 2009 r. uznano, że go tu nie chcą, na resztę życia odesłano do zakładu karnego w Załężu pod Rzeszowem. Według prawa polskiego tu o warunkowe przedterminowe zwolnienie będzie mógł się obiegać dopiero w 2029 r.

Tomasz Lis na lata przepadł bez wieści, niemiecka policja poszukiwała go z umiarkowanym zaangażowaniem, dopiero policja polska, na prośbę niemieckiej, odnalazła bandytę. Jako Tomasza W., bo „Lis" był tylko pseudonimem. Tomasz W. w śledztwie, potem przed tarnobrzeskim sądem, w którym zeznawał jako oskarżony o udział w zbrojnej grupie przestępczej, przyznawał się do zabójstwa na Ekaterinie, wielokrotnie przeczył, że Piotr był w jej mieszkaniu i miał cokolwiek wspólnego z tą śmiercią. I był w tych zaprzeczeniach konsekwentny i bezinteresowny, bo „uniewinnianie" Piotra nie mogło mu przynieść żadnej korzyści.

Tomasz W. i przed niemieckim sądem przyznał się do winy, wyrok: 9 lat i 3 miesiące pozbawienia wolności. Tylko tyle, bo morderca w chwili zabójstwa nie miał ukończonych 18 lat, więc jako nieletniego można go było skazać na maksimum 10 lat więzienia. W 2019 roku zakończył odbywanie kary za to zabójstwo. Piotr P. za to samo zabójstwo, którego przecież nie popełnił, od 21 lat nie wyszedł zza krat.

Wyboista droga do sprawiedliwości

Mając czarno na białym zeznania Tomasza W., znając prawomocny wyrok monachijskiego sądu w jego sprawie, Prokuratura Okręgowa w Tarnobrzegu jeszcze w 2013 r. zwróciła się do Sądu Krajowego w Monachium z wnioskiem o wznowienie postępowania w sprawie Piotra.

eprasa.pl 99fb02d9a4

- Z treści uzasadnienia tego wyroku (wobec Piotra) wynika między innymi, że Piotr P. wewnątrz mieszkania Ekateriny I. obserwował postępowanie „Tomasza Lisa", polegające na wymierzeniu Ekaterinie I. przynajmniej 10 bardzo ciężkich ciosów, skrępowaniu jej, zaklejeniu nieprzytomnej otworów nosowych, co skutkowało jej śmiercią - przytacza tarnobrzeska prokuratura w dokumencie. - Z uzasadnienia tego wyroku (wobec Tomasza W.), a także wyjaśnień samego Tomasza W. wynika, że Piotr P. pomimo planowania i przygotowywania rozboju na Ekaterinie I. przebywał poza miejscem zbrodni popełnionej przez Tomasza W., tj. mieszkaniem Ekateriny I. Zestawienie tych orzeczeń prowadzi do wniosku, że w obrocie prawnym funkcjonują dwa prawomocne wyroki o sprzecznej treści.

Uprzejma odpowiedź niemieckiego wymiaru sprawiedliwości sprowadzała się do tego, że sprawa jest dla nich zamknięta, o wznowieniu postępowania raczej nie mogło być mowy.

Wydawało się, że wznowienie sprawy i w konsekwencji prawomocne uniewinnienie Piotra przez sąd w Niemczech jest niemożliwe. A przecież polski sąd nie może anulować, uchylać, unieważniać orzeczeń niemieckiego wymiaru sprawiedliwości. By Piotr opuścił więzienne mury, choćby wciąż jako skazaniec, pozostało prezydenckie prawo łaski, więc mama Piotra trzykrotnie słała wnioski do Kancelarii Prezydenta RP Andrzeja Dudy o łaskę dla swojego syna. I trzykrotnie tej łaski odmawiano, choć do wniosków dołączane były przychylne dla nich opinie Sądu Okręgowego w Rzeszowie i tutejszego sądu apelacyjnego. Z końcem grudnia 2024 r. do Kancelarii Prezydenta RP Karola Nawrockiego trafił czwarty wniosek, znów z poparciem obu rzeszowskich sądów. Czeka na rozpatrzenie.

Mama Piotra też czeka, z nadzieją, ale nie bezczynnie. Z początkiem stycznia pani Helena przesłała prośbę do Rzecznika Praw Obywatelskich i Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka. Prośbę o „podjęcie działań na rzecz mojego syna Piotra z Rzeszowa" w kontekście wniosku o ułaskawienie.

- Piotr od 2004 roku jest pozbawiony wolności, w wyniku czego stracił zdrowie, ma stwierdzonego nieoperacyjnego guza na tarczycy, zaawansowaną astmę i inne dolegliwości - po raz pierwszy w oficjalnych pismach powołuje się na stan zdrowia syna.

Przytacza przyczyny i okoliczności skazania Piotra w Niemczech, dowody jego niewinności, ustalone przez polską prokuraturę i wymiar sprawiedliwości, przychylne opinie polskich sądów dla ułaskawienia, przychylne opinie dyrekcji zakładu karnego, w którym Piotr jest osadzony, ponad 100 nagród, jakie tu otrzymywał od dyrekcji za swoje zachowanie, także fakt, że - jak mówią również opinie sądów - przyczynił się do rozbicia zbrojnej grupy przestępczej, którą sądzono w Tarnobrzegu, a do której należał Tomasz W. vel Lis. A ten jeszcze w Niemczech szeroko opowiadał Piotrowi o swoich przestępczych wyczynach, o tych, którymi zajmowała się tarnobrzeska prokuratura również. W zasadzie wystarczyłoby, gdyby Piotr tylko wskazał „Tomasza Lisa", jako zabójcę z Monachium, by ten przed sądem „sypał ziomali" z gangu bez zahamowań. I tak właśnie robił. Jeszcze w 2022 roku Piotr zwrócił się do niemieckiego Sądu Krajowego w Augsburgu z wnioskiem o wyznaczenie mu obrońcy „w celu przygotowania do wznowienia postępowania".

- Wniosek skazanego jest bezzasadny - brzmiała odpowiedź niemieckiego sądu.

W stanowisku niemieckiego wymiaru sprawiedliwości pojawia się i taki argument: „Był sprawcą również wtedy, jeśli nie było go bezpośrednio w mieszkaniu lub jego pobliżu, zwłaszcza że miał własny interes w dokonaniu czynu".

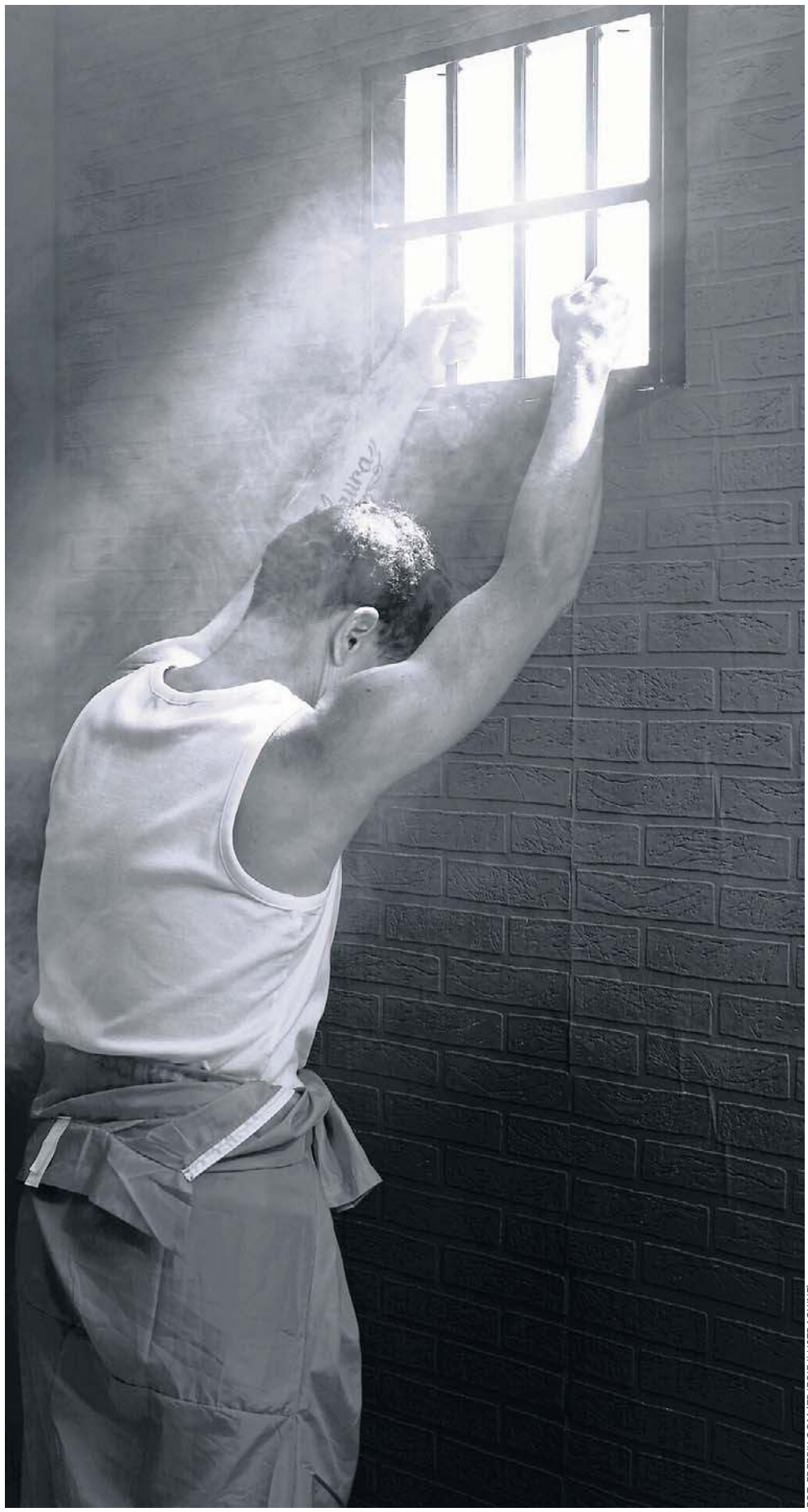

FOT. FREEPIK.COM (ZDJĘCIE ILUSTRACYJNE)

Robert Stefanowski, kolega Piotra: - Obawiam się, że on tego nie przeżyje. Można się pogodzić z karą za czyn, który się popełniło, ale jeśli nie został popełniony, a karę za niego się ponosi, to proszę sobie wyobrazić, co dzieje się w psychice takiego człowieka

Minister też pomoże. Nowa nadzieja?

Coraz liczniejsze jest grono osób, które zabiegają o to, by 57-letni obecnie mężczyzna zaznał jeszcze nieco wolności, bo niemal pół życia spędził za kratami za coś, czego nie zrobił.

- Pragnę dodać, że w ostatnim czasie po publikacjach medialnych dotyczących sytuacji syna rodzina uzyskała zapewnienie wsparcia ze strony ministerstwa sprawiedliwości - zaznacza pani Helena w piśmie do RPO. - Minister sprawiedliwości jest zapoznany z problematyką sprawy. Niemniej jednak najskuteczniejszym sposobem pomocy dla syna jest pozytywne rozpatrzenie wniosku o akt łaski.

O uwolnienie Piotra zabiega „Fundacja Dowód Niewinności", w której mecenas Paweł Matyja był pełnomocnikiem Tomasza Komendy. W stałym kontakcie z osadzonym jest przedsiębiorca Robert Stefanowski, znają się z młodzieńczych lat, na lata stracili ze sobą kontakt, to Piotr zza krat zgłosił chęć odnowienia tej znajomości.

- Pamiętam nasze pierwsze spotkanie w więzieniu przed 15 laty, chyba nie wnikałem w szczegóły sprawy, ale jestem przekonany, że Piotr nie jest osobą zdolną do przypisywanych mu niegdyś rzeczy - wspomina. - Pojawiły się nowe dowody, ujawniono rzeczywistego sprawcę, Piotr o tym wspominał, ale czuł się zupełnie bezradny. Przyjechali do niego ludzie z Niemiec, rozmawiali, oni odjechali, wzbudzili w nim nadzieję i dalej nic się nie działo.

Dać mu szansę nacieszyć się życiem

Stefanowski przyznaje, że Piotr zdrowie ma kiepskie, a bywa u niego regularnie.

- Te lata, jakie musiałby spędzić w więzieniu do czasu uzyskania prawa do warunkowego zwolnienia, to wyrok najwyższy - mówi. - Obawiam się, że on tego nie przeżyje. Można się pogodzić z karą za czyn, który się popełniło, ale jeśli nie został popełniony, a karę za niego się ponosi, to proszę sobie wyobrazić, co dzieje się w psychice takiego człowieka. Jeszcze jest czas, by dać mu szansę nacieszyć się życiem. Teraz wokół tej sprawy wiele się dzieje, więc znów wstąpiła w niego nadzieja, widać po nim radość, wręcz entuzjazm. Ale tak już wcześniej bywało, kiedy Piotr liczył na to, że coś dobrego się wydarzy. A potem dół, bo nie wydarzyło się nic. Nawet boję się pomyśleć, co może się stać, kiedy i tym razem się nie uda. On tego nie wytrzyma. Na razie żyje nadzieja ułaskawienia.

Zapewnia, że Piotr nie jest kryminalistą, nie jest zabójcą, to człowiek zrównoważony, ma swoją wrażliwość, mnóstwo czyta, bardzo dobry szachista.

- Dziś też do niego jadę, może będziemy rozmawiać o wspólnych dawnych znajomych, może o Wenezueli, albo Iranie, a może o sytuacji w ekonomii - przypuszcza. - To naprawdę fajny facet, pokrzywdzony przez los i sytuacja, w której się znalazł, niszczy go, wręcz zabija. Żyje nadzieją na przyszłość, ma swoje plany, wie, co chciałby robić, planuje podjąć pracę, rozwijać się zawodowo, ma do kogo wrócić, bo ma wspierającą go rodzinę. To inteligentny i pracowity człowiek, choć po 22 latach świat jest inny od tego, który pamięta, więc będzie się musiał dla niego ponownie narodzić.

Wielu ludzi „trzyma kciuki" za ułaskawienie Piotra i wielu z nich wspiera go czynnie. Jeśli się uda, to będzie dopiero polowa sukcesu, bo jakkolwiek ułaskawiony i wolny, to wciąż z piętnem wyroku za morderstwo. Uniewinnić może go tylko niemiecki sąd, ale już ułaskawienie będzie małym zadośćuczynieniem za wyrządzoną mu niesprawiedliwość i stracone ponad dwie dekady życia.

UPOMINAMY SIĘ O SPRAWIEDLIWOŚĆ

O gehennie człowieka, który od ponad 20 lat odsiaduje wyrok za morderstwo, którego nie popełnił, pisaliśmy m.in. 17 października 2025 roku. W tej sprawie najbardziej bulwersujące jest to, że sąd niemiecki osądził i skazał faktycznego sprawcę zbrodni - ten człowiek odsiedział już wyrok i jest na wolności. A Piotr przebywa wciąż za kratami. Od ponad 20 lat. Skazany za czyn, którego nie popełnił. Dziś ponownie upominamy się o sprawiedliwość dla niego i dla jego rodziny. Apelujemy do Prezydenta Rzeczpospolitej Polskiej Karola Nawrockiego o skorzystanie z prawa łaski.

eprasa.pl 99fb02d9a4

Polska
Poniedziałek, 26.01.2026

CZŁOWIEK URATOWAŁ PŁONĄCEGO CHŁOPCA. SZUKAŁ GO PO LATACH. I ZNALAZŁ

4 lutego 1994 roku, Koszalin. Zza aut na parkingu wybiega pięcioletni chłopiec, rozpaczliwie krzyczy, cały jest w płomieniach. Z pomocą rzuca się Bogusław Szewczyk, gasi ogień na dziecku i ratuje mu życie

Piotr Polechoński

Pan Bogusław nie poznał wtedy nazwiska chłopca i potem go już nie spotkał. - Wiele razy zastanawiałem się, jakie były dalsze jego losy, co u niego słychać? Zdecydowałem, że teraz, po latach, spróbuję się tego dowiedzieć - mówi. I dowiedział się.

FOT. RADOSŁAW BRZOSTEK

Pan Bogusław nigdy nie zapomniał płonącego chłopca, którego tylko dzięki jego szybkiej reakcji udało się uratować

Pan Bogusław

Chłopiec biegł i krzyczał, wręcz piszczał z bólu, w kuli ognia. Płonął jak pochodnia. Przypadek zdecydował, że kilkanaście metrów dalej - przy ulicy Bukowej, w pobliżu ulicy Lelewela - jest przystanek. Chwilę wcześniej stanął przy nim Bogusław Szewczyk, sprawdzał na rozkładzie, ile będzie czekał na autobus. Wtedy pracował w Szkole Podstawowej nr 18 i w jednej sprawie służbowej miał udać się do banku w centrum miasta.

Rozpaczliwy krzyk dziecka uderzył go z prawej strony.

- Jakby ktoś zdzielił mnie młotem prosto w głowę - wspomina.

Zanim odwrócił głowę, wiedział, że dzieje się coś strasznego. Widok biegnącego chłopca, na którym płonie kurtka, wydawał mu się tak nierzeczywisty, że potrzebował sekundy, aby zrozumieć, że ogień i wrzask bólu są prawdziwe.

Potem ruszył.

- Pędziłem, ile sił w nogach, i kątem oka zobaczyłem, że w stronę chłopca biegnie też kobieta, która w rękach miała kurtkę, aby nią ugasić ogień. To nie była jej kurtka, wtedy się nad tym nie zastanawiałem, ale teraz myślę, że to może była kurtka jej dziecka, bo była małego rozmiaru. Pewnie była z nim gdzieś w pobliżu, zobaczyła, że ten chłopiec jest cały w płomieniach i zareagowała podobnie jak ja - opowiada.

W biegu, gdy ją mijał, podała mu kurtkę i gdy dobiegł do płonącego pięciolatka, zarzucił mu ją na plecy i ramiona.

- Dzięki tej pani zaoszczędziłem kilkanaście sekund, bo chciałem już ściągać swoje ubranie, a to zajęłoby chwilę i straciłbym czas. A ten w tym momencie decydował o życiu lub śmierci - wspomina.

Ogień udało mu się zdusić od razu. Jemu nic się stało, tylko rękawiczki niemal całe się stopiły. Za to od razu było widać, że chłopiec doznał poważnych obrażeń. Trząsł się cały, płakał, stracił przytomność. Gdy ją odzyskał, spytał szeptem „Proszę pana, czy ja się paliłem?".

Przez chwilę chciał spróbować zdjąć spaloną kurtkę z chłopca, ale zrezygnował. Miejscami była stopiona do tego stopnia, że skleiła się ze skórą dziecka.

Położył chłopca na śniegu, aby ochłodzić organizm. Wokół zgromadzili się ludzie, każdy chciał pomóc, niektórzy płakali, ktoś otulił dziecko kocem.

Przyjechało pogotowie ratunkowe, pięciolatek szybko trafił do koszalińskiego szpitala.

Wtedy pana Bogusława opuściły siły, poczuł mdłości i zakręciło mu się w głowie. Wiedząc, że chłopiec jest już bezpieczny, poszedł do swojego mieszkania, które było w jednym z pobliskich bloków. Gdy doszedł do siebie i wrócił, na miejscu nie było już nikogo.

Chłopiec

Lokalna prasa wtedy pisała: „Chłopiec miał pięć lat, a jego kurtka zajęła się ogniem od zapałek, które znalazł na podwórku i zapalał jedna po drugiej. Poparzenia są II i III stopnia, objęły 17 procent ciała".

- To były bardzo poważne obrażenia. Praktycznie do 15. roku życia trwało moje leczenie. Przeszczepy skóry, rehabilitacja, indywidualny tok nauczania. Jak wtedy trafiłem do szpitala, to pierwszy raz wyszedłem z niego dopiero po dwóch miesiącach. No, trochę się nacierpiałem - mówi dziś już dorosły mężczyzna.

Nie chce ujawniać swojego wizerunku, woli pozostać anonimowy.

- To dla mnie trudne wspomnienia. Nie chcę w nie angażować też swojej rodziny, a tak by było, gdybym wszystkim się pokazał, że ten chłopiec to ja - tłumaczy.

Zgodził się tylko opowiedzieć wszystko ze swojej perspektywy.

- Pamiętam mało. Tylko wielką jasność i wielki ból. Nie pamiętam, jak się zająłem ogniem, co dalej się działo, kto mnie ratował. Miałem tylko pięć lat, trauma była też tak wielka, że pewnie zadziałał mechanizm wyparcia. Pierwsze, co kojarzę, to sceny ze szpitala. Leżę na łóżku, cały jestem w opatrunkach, rodzice są obok mnie - wspomina.

To, co wie o samym wypadku, zna z opowieści bliskich. Tego dnia on wraz z siostrą i mamą mieli pójść na zakupy. Wyszedł przed klatkę w bloku jako pierwszy, miał przez minutę poczekać na resztę. Ubrany był w grubą kurtkę typu miś, pudełko z zapałkami musiało leżeć gdzieś blisko.

- Potem już wszystko potoczyło się błyskawicznie. To była połowa lat 90., nikt nie słyszał o ubraniach z atestami i jak zapaliłem zapałki, to kurtka zajęła się ogniem od razu - opowiada.

Leczenie było długie i skomplikowane, ale zakończyło się sukcesem. Blizny pozostały, jednak nie rzucają się w oczy, nie przeszkadzają w życiu.

Koszalinianin skończył studia, założył rodzinę, pojawiły się dzieci.

- Żyję normalnie, pracuję. Nie wracam myślami do tamtych chwil, nie śnią mi się po nocach. To był nieszczęśliwy wypadek, nikt nie zawinił. Może dobrze, że miałem wtedy tylko pięć lat? Gdybym miał więcej, to pewnie trauma mocniej by we mnie siedziała. Na pewno dostałem drugie życie. Od człowieka, który mnie wtedy uratował...

Spotkanie

Gdy w ubiegłym tygodniu pierwszy raz pisaliśmy o tej niezwykłej historii, znaliśmy tylko wersję pana Bogusława. Zgłosił się do nas z prośbą, aby pomóc mu w odszukaniu chłopca, którego uratował w 1994 roku.

- Minęło już tyle lat, ja sam mam ich już 76, a wydarzenia tamtego dnia ciągle we mnie żyją. Wiele razy zastanawiałem się, jakie były dalsze losy tego chłopca, co u niego słychać? Zdecydowałem, że spróbuję się tego dowiedzieć - mówił nasz rozmówca. - Chciałbym się z nim spotkać, porozmawiać. Zobaczyć, jak potoczyło mu się życie, i zapytać, tego dorosłego już dziś człowieka, ile pamięta z tamtego dnia. Jeśli ten mój apel przeczyta też ta pani, która również biegła z ratunkiem, to ją też proszę, aby się odezwała. Tamte chwile połączyły gdzieś nas na zawsze - dodawał.

Kilka dni po naszej publikacji zadzwonił do nas poszukiwany mężczyzna.

- To chyba o mnie chodzi - powiedział. - Z wielką radością spotkam się panem Bogusławem. Przez tyle lat wiedziałem tylko tyle, że ktoś taki był i że jego reakcja i odwaga uratowały mi życie. Ale nikt nie wiedział, kto to był, jak się nazywał. Bardzo się cieszę, że w końcu się ujawnił i że będę mógł mu osobiście podziękować - mówi.

Nie chce, aby to się odbyło publicznie. Będzie to prywatne, skromne spotkanie.

Ma do niego dojść w najbliższych dniach.

- Nie mogę doczekać się chwili, gdy będę mógł z nim porozmawiać - mówi pan Bogusław. - Cały czas mam przed oczami spojrzenie tego chłopca, gdy trzymam go w ramionach. On tak się wtedy bał, tak cicho płakał. Dobrze będzie zobaczyć, że wszystko skończyło się szczęśliwie... ©℗

eprasa.pl 99fb02d9a4

„GREMLINY ROZRABIAJĄ" I... WKRÓTCE POWRACAJĄ!

To jeden z tych filmów, dzięki którym wspominamy lata 80. z sentymentem i nostalgią. Nawet, jeśli bohaterami obrazu są złośliwe stwory, które w wigilijny wieczór urządzają w małym miasteczku istną demolkę. „Gremliny rozrabiają" mają już ponad 40 lat, a niebawem mają powrócić z wielkim hukiem

Wojciech Obremski

FOT. CAP/RFS/CAPITAL PICTURES/EAST NEWS

Po premierze pierwszego filmu świat oszalał na punkcie „Gremlinów". Sprzedano tysiące gadżetów, gier i maskotek z podobizną Gizma

Przypomnijmy: w filmie z 1984 roku nastoletni Billy dostaje od ojca niecodzienny, gwiazdkowy prezent - jest to kupiony od chińskiego sprzedawcy dziwny, kosmaty zwierzak mogwai, o sympatycznym wyglądzie i imieniu Gizmo. Są jednak trzy zasady trzymania stworzenia w domu: trzeba go chronić przed ostrym światłem i wodą, a także, a być może przede wszystkim: nie wolno go karmić po północy. Rzecz jasna, dochodzi do złamania wszystkich tych zaleceń, co prowadzi do łańcucha przerażających wydarzeń. Gizmo, pod wpływem niechcąco wylanej na niego wody rozmnaża się, zaś po tym, jak jego „dzieci" rzucają się na jedzenie po północy, przemieniają się w straszliwe i złośliwe gremliny, które w dodatku mnożą się niemiłosiernie, siejąc terror w spokojnym dotąd miasteczku Kingston Falls.

Najpierw niszczyły samoloty

Scenariusz filmu napisał Chris Columbus, ten sam, który wkrótce siądzie w fotelu reżysera „Kevina samego w domu" czy, kilkanaście lat później, dwóch pierwszych produkcji z serii o Harrym Potterze. W pierwszej połowie lat 80. Columbus był stosunkowo nieznany, dlatego stworzył scenopis „Gremlinów", by udowodnić decydentom w Hollywood, że posiada talent pisarski. Pomysł zaś przyszedł mu do głowy, gdy nocując w swoim mieszkaniu słyszał dziwne dźwięki. - To coś chodziło jak pluton myszy, a gdy słuchałem tego, biegającego w ciemności, byłem naprawdę przerażony - wspominał Columbus. Same słowo „Gremliny" było znane już znacznie wcześniej - w latach 20. terminem tym określano mityczne, złośliwe stwory, które powodują awarie brytyjskich samolotów RAF-u. I to właśnie jeden z pilotów RAF-u Roald Dahl opublikował w 1943 roku książkę zatytułowaną „The Gremlins", opowiadającą o tych psotnych stworzeniach. Gremliny pojawiły się także w kreskówce z królikiem Bugsem, ba, nawet sam Walt Disney myślał o zrobieniu o nich pełnometrażowego filmu. Aż w końcu wspomniana książka wpadła w ręce Joe'a Dantego, który wyraził chęć nakręcenia współczesnych „Gremlinów". - Nasze gremliny są trochę inne - są trochę zielone, mają wielkie usta, dużo się uśmiechają, robią ludziom niesamowicie, naprawdę nieprzyjemne rzeczy i przez cały czas im się to podoba - mówił Dante, chcąc podkreślić cechy, które wyróżniają jego gremliny na tle innych opowieści o nich.

Wyrak upiorny? A może spaniel?

Film zgodził się wyprodukować Steven Spielberg (widzący początkowo w roli reżysera Tima Burtona). - To jedna z najbardziej oryginalnych rzeczy, na jakie natknąłem się od wielu lat, dlatego ją kupiłem - tłumaczył później reżyser, którego można także dostrzec w jednej ze scen - to jeden z uczestników zjazdu wynalazców.

Do roli Billy'ego zaangażowano Zacha Galligana, mało znanego aktora. W głównego bohatera chcieli się wcielić także m.in. Tom Hanks i Kevin Bacon. Po skompletowaniu obsady zaczęto się zastanawiać, jak właściwie tytułowe gremliny mają wyglądać.

- Po przeczytaniu scenariusza, moim pierwszym pomysłem było wzięcie wyraka upiornego, małego ssaka [żyjącego w Indonezji - przyp. red.] i nadanie mu kreskówkowych proporcji. Chciałem, żeby wielkie oczy były urocze - opowiadał projektant filmu Chris Walas. Reżyser poprosił jednak o poprawki, zatem Walas zrobił kolejny projekt - tym razem Gizmo przypominał... spaniela. Aż w końcu powstała postać, którą wszyscy znamy.

A jeśli chodzi o stwory, które narodziły się w wyniku nieprzestrzegania wspomnianych zasad, początkowo planowano, że będą nimi... małpy, z założonymi maskami. Zmieniono jednak zdanie, gdy jedna z nich, w ataku paniki, dosłownie zdemolowała biuro reżysera. Postawiono więc na marionetki, które jednak nie były doskonałe - często się psuły i miały trudności z „wyrażaniem emocji". Tu wkroczyli spece od efektów specjalnych.

Spielberg: „Gizmo musi zostać!"

Uroczy głosik, którym przemawia Gizmo, w rzeczywistości należał do komika Howie'go Mandela, zaś przywódca gremlinów mówi głosem aktora Franka Welkera (dubbingował m.in. Freda w „Scoobym Doo"). Wśród innych, którzy wydawali odgłosy gremlinów, byli również Michael Winslow, znany m.in. jako Jones z „Akademii policyjnej", a nawet sam reżyser Joe Dante.

Muzykę do filmu skomponował Jerry Goldsmith, który zdobył za nią nagrodę Saturna. Pamiętna melodia nucona przez Gizma nie wychodzi z ust użyczającego mu głosu Mandela, lecz niejakiej Ilene Keys, dziecięcej aktorki.

W pierwszej fazie scenariusza, już na początku filmu uroczy Gizmo miał przemienić się w strasznego przywódcę gremlinów Stripe'a, co eliminowałoby z produkcji uroczego stworka. Na szczęście Spielberg dostrzegł w nim „to coś", twierdząc, że widzowie chcą widzieć słodkiego mogwaya przez cały czas trwania filmu. I tak się stało, a decyzja ta z pewnością wpłynęła na odbiór obrazu, który z pospolitego horroru stał się... horrorem familijnym. Zresztą taki był właśnie ostateczny zamysł filmowców - tuż przed kręceniem uznali, że wiele scen jest zbyt ostrych, jak na młodą widownię. I tak, wycięto scenę, w której gremlin ucina matce Billy'ego głowę, a ta toczy się po schodach. Zrezygnowano też z fragmentu, w którym gremliny zjadają psa Billy'ego. Usunięto również scenę, w której gremliny zaatakowały McDonald'sa, konsumując zamiast hamburgerów... klientów.

Dodajmy, że scenografia przedstawiająca miasteczko Kingston Falls, rok później posłużyła filmowcom do nakręcenia „Powrotu do przyszłości". Zaś na cele stworzenia sceny, w której Gizmo przebiera się za Rambo, producenci poprosili Sylvestra Stallone, aby udał się do odpowiednich prawników i filmowców, w celu uzyskania od nich pozwolenia.

„Dwójka" bez szału, czekamy na „Trójkę"

Świat oszalał na punkcie „Gremlinów". Sprzedano tysiące gadżetów, gier i maskotek z podobizną Gizma. Do polskich kin film trafił z kilkuletnim opóźnieniem, a zatytułowano go „Gremliny rozrabiają". Bazując na jego popularności, w 1990 roku odbyła się premiera „Gremlinów 2" (tym razem złośliwe stwory sieją spustoszenie w nowoczesnym biurowcu). Film nie powtórzył sukcesu „Jedynki", toteż porzucono plany kolejnych kontynuacji. Dopiero w 2013 roku zaczęto przebąkiwać o odświeżeniu serii, jednak z planów tych nic nie wyszło. Za to w 2023 roku powstał 20-odcinkowy, animowany serial o gremlinach, którego akcja dzieje się w Szanghaju, w latach 20.

I wreszcie w listopadzie ubiegłego roku ogłoszono, że filmowa kontynuacja jednak powstanie, mało tego: ponownie z Chrisem Columbusem w fotelu reżysera i Stevenem Spielbergiem jako producentem.

Premiera „Trójki" zaplanowana jest na 19 listopada 2027 roku. Czy powtórzy sukces części pierwszej? Fakt, że za kolejną odsłoną będą stali oryginalni twórcy, pozwala przypuszczać, że nie powinno być źle.

eprasa.pl 99fb02d9a4

FOT.ARCHIWUM PRYWATNE

40 urodziny Janusz Marciniaka w domu Kazimierza Deyny w San Diego

FOT.ARCHIWUM PRYWATNE

Trofea w domu Kazimierza Deyny w San Diego

„MIAŁ ŁZY W OCZACH, CHCIAŁ WRÓCIĆ DO POLSKI, DO RODZINNEGO MIASTA”

To opowieść o wielkim talencie, sławie i tragicznym końcu. Pochodzący ze Starogardu Gdańskiego Kazimierz Deyna stał się symbolem potęgi polskiego futbolu. Rozumiał piłkę, jak mało kto. Na murawie brylował. W życiu, poza boiskiem mówiło się, że nie zawsze umiał sobie poradzić. Był małomówny, skryty, może nieśmiały i łatwo ulegał różnym pokusom...

Kinga Furtak

Wracał autostradą do domu w San Diego. Jechał szybko, zbyt szybko. Mówi się, że nie zauważył zaparkowanej na skrajnym pasie ciężarówki, która miała włączone światła awaryjne. Może zasnął za kierownicą... Jego dodge colt z impetem uderzył w pojazd. Kazimierz Deyna zginął na miejscu. Wiadomo, że w czasie, kiedy doszło do tragedii, borykał się z problemami w życiu prywatnym. Policja nie stwierdziła śladów hamowania. Był 1 września 1989 roku...

Był unikatowy

Mówili o nim „generał”, „dyrygent”, „król środkowego pola”. Wciąż jest uznawany za najlepszego polskiego piłkarza. Popularny „Kaka” urodził się w Starogardzie Gdańskim, w 1947 roku. Pochodził z wielodzietnej rodziny. Miał ośmioro rodzeństwa. Ojciec pracował w mleczarni, a matka zajmowała się domem.

Jako mały chłopak, grał na podwórku w piłkę nożną, przykuł uwagę działaczy nieistniejącego już klubu Włókniarz Starogard Gdański. Trenerem, który w niego uwierzył i pozwolił dołączyć do drużyny. był Henryk Piotrowski. Tu rozpoczęła się jego historia

W kolejnych latach rozwijał sportowe skrzydła i wspinał się na sam szczyt.

Przez większość kariery Kazimierz Deyna był związany z Legią Warszawa, z którą zdobył dwa tytuły mistrza kraju w 1969 i 1970 r. oraz Puchar Polski w 1973. W 1970 r. stołeczny klub awansował do półfinału rozgrywek o Puchar Europy, którego dzisiejszym odpowiednikiem jest Liga Mistrzów.

Dzięki swojej grze w Legii stał się jej największą legendą. Żaden inny legionista nie doczekał się pomników.

Przez lata starały się o niego największe kluby europejskie: Real Madryt, AC Milan, Inter Mediolan, Bayern Monachium czy AS Monaco. Jednak władze PRL nie pozwalały mu na wyjazd z kraju do innego klubu. Udało się to w 1978 roku. Deyna trafił do angielskiego Manchesteru City. Gdy pojawiła się okazja transferu do Stanów Zjednoczonych, skorzystał z niej. Grał tam w barwach San Diego Sockers i rozpoczął swoje amerykańskie życie. Polonia trzymała się wtedy razem. Były spotkania, urodziny, wyjazdy.

- Spotkałem Mariolę Deynę na przyjęciu, na którym bawiła się Polonia – wspomina Janusz Marciniak, przyjaciel Kazimierza Deyny. - Kazika wtedy nie było. Grał mecz na wyjeździe. Impreza się skończyła i okazało się, że nie ma nikogo, kto mógłby zawieźć Mariolę do domu. Zapytała, czy mogę jej pomóc. Zgodziłem się. Pod domem wymieniliśmy się numerami telefonów. Mariola zadzwoniła za tydzień. Zapytała, czy mógłbym odwieźć Kazika na lotnisko, bo leci na mecz. Zgodziłem się natychmiast, czekałem na moment, w którym mógłbym go poznać.

eprasa.pl 99fb02d9a4

FOT.ARCHIWUM PRYWATNE

Janusz Marciniak, przyjaciel Kazimierza Deyny ze Stanów Zjednoczonych

FOT.ARCHIWUM PRYWATNE

Kazimierz Deyna z żoną Mariolą

Tak się zaczęła nasza znajomość. Coraz częściej odwoziłem go i odbierałem z lotniska. Po drodze zawsze kupował kwiaty dla Marioli. Zaczęliśmy spędzać więcej czasu, lubiliśmy rozmawiać. Nasza znajomość się zacieśniała. Kazik szczególnie lubił spędzać wolny czas na bajecznej wyspie Coronado. Jeździliśmy tam w trójkę z jego żoną. Spotykaliśmy się regularnie 2-3 razy w tygodniu. W dniu 40 urodzin zrobił mi wielką niespodziankę. Zaprosił do siebie do domu, a tam przygotował przyjęcie. Był tort, szampan i miła atmosfera. Wzruszyłem się... Kazik był gwiazdą, ale nie udawał gwiazdy. Nigdy nie stał się celebrytą. Był niesamowicie skromny. Między nami nawiązał się szczery kontakt od samego początku. Było zaufanie i szczerość. Tak, tam była po prostu prawdziwa szczerość... Kazik bardzo to cenił.

Wśród Polonii były osoby, które dzięki znajomości z krajanem chciały coś zyskać. Najczęściej były to darmowe wejściówki na mecz.

- Ja nie prosiłem o takie rzeczy - wspomina Janusz Marciniak . - Mówiłem Kazikowi, że sam kupię bilet. Później przestałem to robić, bo nalegał, by mi je sprezentować. Dał mi też swoją kartę wjazdową na parking przy stadionie (na wystawie w niedawno otwartym starogardzkim Centrum Deyny można zobaczyć kopię tej wjazdówki). Nasza znajomość trwała długie lata. Mieliśmy plany, by razem przyjechać do Polski odwiedzić rodzinne jego strony... Bardzo tego pragnął. Czuł swoje korzenie. Niestety, to się nie udało.

W rodzinie Deynów z czasem pojawił się kryzys. Stało się to w czasie, gdy został oszukany i stracił wszystkie pieniądze.

- Po meczach coraz częściej wracał do mojego domu - wspomina nasz rozmówca. - Na dwa tygodnie przed jego śmiercią widzieliśmy się po raz ostatni. Wyglądał już inaczej, inaczej też się zachowywał. Wiadomo było, że jest źle. Mówił prawdę, ale nie narzekał. Powiedział, że rozstał się z Mariolą. 1 września o 6 rano dostałem telefon od jego nowej partnerki. Powiedziała, że Kazik nie żyje...

- Kaziu zapisał piękną kartę w historii w futbolu. Na cztery dni przed jego śmiercią złożyłem mu propozycję, aby wrócił do kraju i dołączył do mojego sztabu w reprezentacji Polski. Było to w obecności ówczesnego prezesa związku Kazia Górskiego. Uważałem, że po tym, jak okradł go pan Miodonski, była potrzebna mu pomoc... - opowiada nam Andrzej Strejlau, który przez wiele lat współpracował z ikoną Legii. - Gdyby mnie posłuchał i wrócił do kraju, to by żył.

Upamiętnienie legendy

Prezydent miasta z gronem współpracowników zastanawiał się, w jaki sposób uhonorować Kazimierza Deynę. W Starogardzie Gdańskim była już ścieżka edukacyjna poświęcona piłkarzowi. Zaczyna się przy jego domu rodzinnym, który ozdobiony jest muralem z jego podobizną. A ostatnim miejscem na szlaku jest stadion miejski noszący imię Kazimierza Deyny. Jest tam również jego rzeźba, która „siedzi" na stadionowej trybunie. W mieście jest również jego rondo.

- Poseł Kazimierz Smoliński, zaproponował, by powstało centrum imienia naszego znakomitego piłkarza, które byłoby poświęcone tej wybitnej postaci - wspominał Janusz Stankowiak podczas uroczystości otwarcia Centrum Deyny.

Od samego progu centrum można stajemy się świadkiem wielkiej historii i czujemy ją na własnej skórze. Przekraczając próg multimedialnej wystawy przenosimy się w czasie. Klubowa szatnia, gdzie wiszą koszulki wybitnego piłkarza i sam Deyna uśmiechnięty z ekranu szykujący się do sportowych rozgrywek. Z szatni wychodzimy wprost na boisko. Wita nas tłum kibiców Legi, którzy skandują swoją pieśń - „Deyna Kazimierz! Nie rusz Kazika, bo zginiesz" po tak energetycznym wstępie emocje wzrastają. Czuć, że to będzie wielka przygoda.

- Tu wracają wspomnienia z czasów młodości - mówi Marek Chabowski, który już pierwszego dnia po otwarciu odwiedził Centrum Edukacyjno-Sportowe im. Kazimierza Deyny. - Doskonale pamiętam moment, w którym poznałem tatę Kazimierza Deyny. Pracował wówczas w jednym zakładzie z moim ojcem. Któregoś dnia, obaj po pracy przyszli do naszego domu. Mieliśmy biało-czarny telewizor, którego Deynowie nie mieli. Siedziałem obok pana Franciszka, który z dumą patrzył na poczynania syna na boisku. Jak usłyszał słowa komentatora Jana Ciszewskiego, że Kaziu rządzi środkiem pola, to zakręciły mu się łzy w oczach. Kazika wszyscy kochali w Starogardzie - wspomina. - Dwa lata temu byłem w muzeum Ronaldo na Maderze. Obiekt ze Starogardu Gdańskiego jest również na wielkim poziomie, jestem pod wrażeniem, że coś takiego powstało w naszym mieście.

Te słowa potwierdzają również eksperci.

- Kilka lat temu dowiedziałem się, że w Starogardzie Gdańskim ma powstać muzeum poświęcone Deynie. Stwierdziłem, że pomogę przy realizacji tego przedsięwzięcia. Nasza współpraca trwała ponad dwa lata. Teraz wszędzie oszczędza się pieniądze i myślałem, że będzie to skromny obiekt. Ale to, co zobaczyłem w lipcu 2025 roku wprowadziło mnie w osłupienie. Muzeum wygląda imponująco - podkreśla Stefan Szczepłek guru dziennikarstwa sportowego, pisarz, komentator sportowy, historyk piłki nożnej. - Starogard Gdański nie jest wielkim miastem, a ma wielkie muzeum. Miejsce jest fenomenalne.

Wiele pamiątek w Centrum Deyny pochodzi od jego przyjaciela z San Diego - Janusza Marciniaka.

- Gdy tylko dowiedziałem się, że powstaje takie miejsce, to od razu wiedziałem, że chcę przekazać pamiątki. Są cenne i chcę, żeby przetrwały - przyznaje. - Wśród nich są koszulki, w których grał Kazik, proporczyki, zdjęcia. Centrum jest przepiękne. To światowa klasa! Jest tu po prostu wspaniale i trzeba chwalić się tym miejscem.

Jest też mnóstwo innych pamiątek również tych bardzo osobistych. Można tu zobaczyć pozew rozwodowy od jego żony Marioli.

Na wystawie znalazła się m.in. Brązowa Piłka redakcji „Kicker" za trzecie miejsce w plebiscycie na najlepszego piłkarza świata w 1974 roku, piłka z autografami Orłów Górskiego z mundialu 1974, buty Huragan oraz proporczyk Zakładowego Klubu Sportowego Włókniarz, w którym stawiał swoje pierwsze kroki. A to dopiero początek tej historii

Przestrzeń pełna wspomnień

Na parterze Centrum Deyny uwagę przyciąga wielofunkcyjna sala szkoleniowa - serce obiektu. To tu odbywać się będą spotkania, wykłady, szkolenia i zajęcia teoretyczne nie tylko członków Akademii Piłkarskiej Deyna. Obok znajduje się reprezentacyjny hol z częścią wystawienniczą i sklepikiem z pamiątkami sportowymi.

Piętro to miejsce na chwilę oddechu - klubokawiarnia zaprasza na kawę, a przestrzeń ekspozycyjna prowadzi wprost do świata Kazimierza Deyny. Multimedialna wystawa, uzupełniona unikatowymi pamiątkami, pozwala zanurzyć się w historii piłkarza, który rozsławił polski futbol na całym świecie.

To miejsce, które ma łączyć pokolenia: od najmłodszych adeptów piłki nożnej, przez kibiców, po mieszkańców szukających przestrzeni spotkań i inspiracji.

Ważnym elementem projektu Centrum Deyny jest Akademia Piłkarska Deyny, którą prezydent miasta powołał w październiku 2024 r. Z ideą jej powołania i celami, jakie stawiają sobie i swoim podopiecznym operatorzy Akademii, uczestnicy otwarcia Centrum Deyny zapoznali się poprzez krótką prezentację filmową.

Jak powiedział jeden z jej operatorów Karol Kolasiński - Akademia Deyny to nowoczesny klub sportowy, którego filarem jest marzenie Kazimierza Deyny o powrocie do Polski i założeniu szkółki piłkarskiej. Kazimierz Deyna symbolicznie wrócił do swojego rodzinnego miasta. Jego historia nigdy nie zginie.

WŚRÓD POLONII BYŁY OSOBY, KTÓRE DZIĘKI ZNAJOMOŚCI Z KRAJANEM CHCIAŁY COŚ ZYSKAĆ. NAJCZĘŚCIEJ BYŁY TO DARMOWE WEJŚCIÓWKI NA MECZ

STARAŁY SIĘ O NIEGO NAJWIĘKSZE KLUBY EUROPEJSKIE. JEDNAK WŁADZE PRL NIE POZWALAŁY MU NA WYJAZD Z KRAJU DO INNEGO KLUBU

eprasa.pl 99fb02d9a4

JAMES DEAN WSCHODNIEJ EUROPY: MAREK PROBOSZ

Kiedy w 1987 roku Marek Probosz opuszczał Polskę, dużo ryzykował. Nie znał angielskiego ani realiów panujących w Hollywood. Miał natomiast za sobą udane role w filmach polskich i czechosłowackich. Okrzyknięto go aktorem pokolenia urodzonego w latach 60.

Ireneusz Stajer

Był idolem ludzi urodzonych w latach 60., którzy właśnie cztery dekady temu wchodzili w dorosłe życie. 16 grudnia 1988 roku (już po wyjeździe Marka do Stanów Zjednoczonych) na ekrany polskich kin wszedł film „Kocham kino" w reżyserii Piotra Łazarkiewicza. Miesiąc wcześniej swoją włoską premierę miał słynny obraz Giuseppe Tornatore „Cinema Paradiso". Oba dzieła łączy hołd oddany kinu.

Bohater polskiego filmu Paweł Born (w tej roli Marek Probosz) przyjeżdża do miasteczka - Lubienia. Funkcjonuje tam opustoszałe i rzadko odwiedzane kino Jutrzenka prowadzone przez jego matkę Marię (świetna Elżbieta Czyżewska). Młody człowiek po jej śmierci postanawia poprowadzić kino, które zagrożone jest likwidacją.

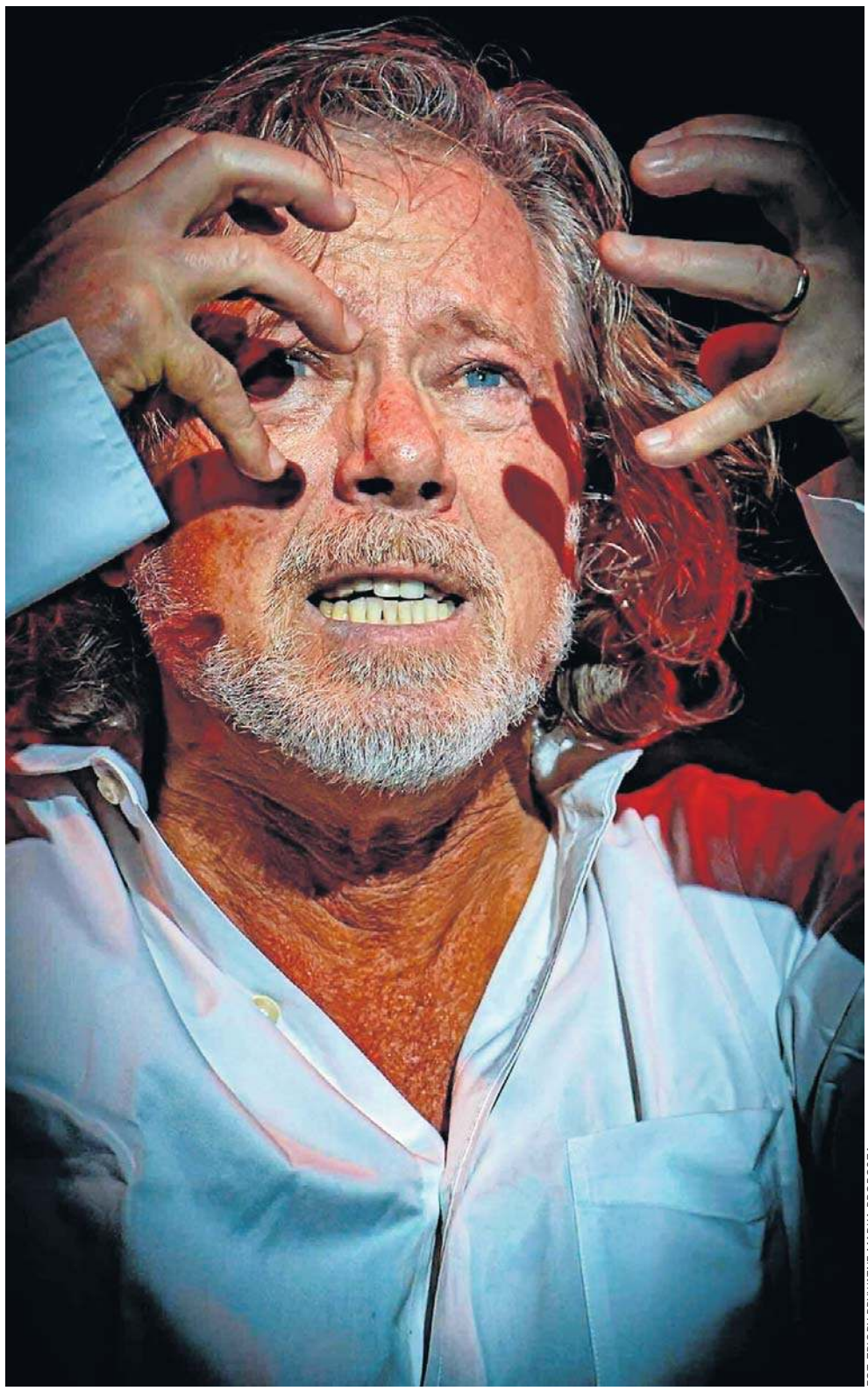

FOT. ZBIORY PRYWATNE MARKA PROBOSZA

W ostatnich latach Marek Probosz wciela się w Cypriana Kamila Norwida w monodramie „Powrót Norwida". Spektakl zyskał uznanie na scenach w Stanach (w tym na Broadwayu) za autentyczne oddanie postaci. Dostał za niego nagrodę „Best New York Premiere 2022"

Wyjechał z biletem w jedną stronę

Marek nie uczestniczy w premierze filmu, bo rok wcześniej emigruje do Stanów Zjednoczonych, by tam poszukać swojego miejsca na ziemi. - Pojechałem do Hollywood, mając dwadzieścia osiem lat. Wyemigrowałem z biletem w jedną stronę z komunistycznej Polski, z sercem pełnym marzeń. Poszedłem po wolność i po to, żeby spróbować czegoś innego - opowiada aktor, który urodził się 24 marca 1959 r. w Żorach.

24 marca 1945 roku Żory zostały wyzwolone spod okupacji hitlerowskiej. - Kiedy po wojnie tego dnia całe miasto świętowało, mama kładła mi poduszkę na parapecie i z wysokości pierwszego piętra domu przy Moniuszki obserwowałem rynek, gdzie paradowała wystrojona orkiestra dęta. Mama podawała mi urodzinowy torcik, głaskała po głowie, szepcząc: „Zobacz, synku, jak całe miasto celebruje twoje święto". Machałem dumny z okna małą rączką i ryczałem ze szczęścia - wspomina Marek Probosz.

Jak mówi, jest drzewem z rodzinnymi korzeniami, chociaż życie przesadziło go na inny kontynent. - Nigdy nigdzie nie mieszkałem tak długo, jak w Los Angeles! Ale w moich żyłach płynie 100 procent góralskiej krwi. Mama Franciszka jest z Koniakowa, a śp. tato Stanisław był z Istebnej - podkreśla aktor.

Jego dziadek Jerzy Probosz to znany pisarz, poeta, dramaturg, laureat Wawrzyna Literackiego Akademii Literatury Polskiej w Warszawie w 1938 roku. Niespełna rok później Jerzy Probosz został za to aresztowany przez Niemców i wywieziony do obo-zu koncentracyjnego w Dachau. Zginął tam w 1942 roku.

- Na grobie widnieje wyrzeźbiony portret dziadka w tradycyjnym góralskim stroju i dwa zdania wiersza: „Istebno co za urok w Tobie/ O Tobie góral i w grobie" - wskazuje aktor, który uważa się za śląskiego górala. Czarny Śląsk poznawał w Żorach. - To tam odkrywałem świat po raz pierwszy, przeżyłem zielone lata, czas dojrzewania, tam zostałem wielokrotnym mistrzem Śląska w kolarstwie i zwycięzcą konkursu recytatorskiego. Tam debiutowałem na scenie w wieku sześciu lat w roli Błazna w „Księżniczce na ziarnku grochu", tam otrzymałem pierwszy dyplom dla najmłodszego uczestnika turnieju szachowego, tam po raz pierwszy poznałem smak niewinnego pocałunku - wylicza Marek Probosz. Ukształtowały go Śląsk i Beskidy, ich tradycje, kultura, historia.

Trzech braci Proboszów

- To one żyją w moim sercu, to moje ojczyzny. Często wpatrując się w ocean (Spokojny - red.), oczami wyobraźni widzę zatopione w nim kopalniane hałdy. W pianach fal odnajduję porośnięte lasami wierzchołki beskidzkich gór, które kształtem przypominają mi starożytne piramidy. Stamtąd z głową pełną marzeń wyjechałem w szeroki świat - podkreśla Marek Probosz.

W Żorach Proboszowie prowadzili intensywne życie towarzyskie. Wraz z zaprzyjaźnionymi rodzinami Kobów, Krzemińskich, Oberajów i Sobików założyli nieformalne stowarzyszenie PKKOS. Mieli nawet legitymacje i swoją kronikę.

- Spotykaliśmy się na imieninach oraz przy innych okazjach. Każdy przynosił to, w czym był dobry, na przykład własnoręcznie zrobioną sałatkę - wspomina pani Franciszka, mama Marka. Jej mąż Stanisław działał w Towarzystwie Miłośników Miasta Żory. Później przekazał do żorskiego muzeum kronikę oraz dokumenty, wspomnienia i fotografie związane z miastem. Zmarł w 2012 roku.

Marek wraz z bratem Piotrem (jest jeszcze trzeci - Adam) uprawiali kolarstwo w LKS Czernica pod okiem świetnych fachowców: Józefa Gawliczka i Karola Łukoszka. Obaj trenowali w deszczu i upale, codziennie przejeżdżali na rowerze 50-60 kilometrów. Sami prali swoje stroje i czyścili rowery. A potem do godziny 1-2 w nocy uczyli się do szkoły. Adam też związał się z kolarstwem, ale inaczej: od lat komentuje zmagania najlepszych cyklistów świata w Eurosporcie.

Wydawało się, że równie znanym aktorem jak Marek bę-

NIGDY NIGDZIE NIE MIESZKAŁEM TAK DŁUGO, JAK W LOS ANGELES! ALE W MOICH ŻYŁACH PŁYNIE 100 PROCENT GÓRALSKIEJ KRWI. MAMA JEST Z KONIAKOWA

eprasa.pl 99fb02d9a4

FOT. ZBIORY PRYWATNE MARKA PROBOSZA

Marek Probosz z żoną Małgorzatą stworzyli w Stanach Zjednoczonych szczęśliwą rodzinę. Poznali się podczas nagrywania... reklamówki „Light Beer"

dzie Adam, najmłodszy z braci. Już w wieku ośmiu lat zagrał w popularnym serialu „Gazda z Diabelnej". Po nim posypały się kolejne role dla Adama. Zagrał w serialach „Kłusownik" i „Oko proroka" oraz „Akademii Pana Kleksa". Najstarszy z braci, Piotr, założył kabaret w Liceum Ogólnokształcącym im. Karola Miarki w Żorach. Marek uczył się w technikum samochodowym w Pszczynie, a swój kabaret stworzył w żorskim Domu Kultury, którym kierowała Halina Oberaj, przyjaciółka rodziny. I to Marek ukończył Wydział Aktorski Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera w Łodzi, a następnie zostanie absolwentem Wydziału Reżyserii Filmowej w Amerykańskim Instytucie Filmowym w Los Angeles.

Tak zaczął się amerykański sen

Marek wyjechał z kraju, gdy był u szczytu sławy. Miał za sobą role w takich filmach, jak: „Czas dojrzewania", „Ćma", „Niech odleci cię mara", „Życie wewnętrzne" czy przywołane już kultowe „Kocham kino". Ogromną popularność zdobył w Czechosłowacji, gdzie zagrał w nagradzanych na światowych festiwalach obrazach: „Ślady wilczych zębów", „Cień paproci", „Gorączka". Wyreżyserował też „Salome" Oscara Wilde'a. Inscenizację czechosłowacka krytyka okrzyknęła najlepszym spektaklem 1986 roku.

Do Los Angeles przyleciał wprost z planu filmowego w Hamburgu. Jak wspomina, lądowanie było jak z bajki. Miasto Aniołów skąpane w słońcu. Na lotnisku czekała limuzyna z szoferem, bo na trzytygodniowe spotkania z filmowcami z całego świata zaprosił go dyrektor artystyczny American Cinematheque Garry Esert, zachwycony czechosłowackimi filmami polskiego artysty nagrodzonymi w Cannes, San Sebastian i Karlovych Varach.

– Zawieziono mnie wprost do studia filmowego Paramount. Zostałem przedstawiony kilku amerykańskim filmowcom, potem udałem się na obiad do hotelu Roosevalt na Bulwarze Gwiazd, gdzie mieściła się wtedy siedziba American Cinematheque. W tym legendarnym miejscu odbyła się pierwsza uroczystość wręczenia Oscarów. Z pokoju miałem widok na słynne kino Chinese Theatre, gdzie wieczorem po czerwonym dywanie sunęły na kolejną premierę hollywoodzkie gwiazdy - opowiada Marek Probosz.

Tak zaczął się jego amerykański sen, który trwa do dziś. Mieszka z żoną Małgorzatą (pierwszą małżonką była nieżyjąca już aktorka Maria Probosz z domu Zydorek) w Santa Monica - prestiżowej dzielnicy Los Angeles.

Dodaje, że jego największym sukcesem nie było zagranie w iluś filmach i spektaklach teatralnych, a właśnie założenie szczęśliwej rodziny. Gosię, Gdyniankę, poznał w Los Angeles podczas kręcenia reklamówki „Light Beer" – jasnego piwa, której tematem było polskie wesele. Twórcy szukali aktorów o słowiańskich rysach. Małgorzata zgłosiła się na casting dość przypadkowo, bo nie jest zawodową aktorką. W reklamie zagrał też Marek i tak zaczęła się ich znajomość sfinalizowana ślubem.

W Stanach zagrał w szeregu filmach. Najgłośniejszą okazała się rola Romana Polańskiego w obrazie „Helter Skelter" Johna Graya. W aktorskim CV ma też udział w znanych serialach: „Wojskowe Biuro Śledcze" (JAG), „Detektyw Monk" (Monk), „Wzór" (Numbers), „Skandal" (Scandal) czy „Scorpion" (gościnnie). Od lat 90. gra znowu w Polsce. Za monodram o rotmistrzu Witoldzie Pileckim „Ochotnik do Auschwitz", pokazanym na Broadwayu (na największym w świecie festiwalu jednego aktora), otrzymał (w 100-lecie odzyskania przez Polskę niepodległości) nagrodę „Best Documentary Show 2018".

Do swoich najważniejszych osiągnięć aktorskich zalicza także rolę Odyseusza w spektaklu „Philoctetes" (reż. Michael Hackett). W ostatnich latach wciela się w Cypriana Kamila Norwida w monodramie „Powrót Norwida". Spektakl zyskał uznanie na scenach w Stanach (w tym na Broadwayu) za autentyczne oddanie postaci. Twórca wielokrotnie był z tym monodramem w Polsce, dostał za niego nagrodę „Best New York Premiere 2022".

– Zacząłem pracę nad kolejnym monodramem „Mistrz Paderewski". Mam nadzieję zorganizować światową premierę na Broadwayu jesienią tego roku – podsumowuje aktor, reżyser i pisarz. Jest autorem m.in. powieści „Eldorado".

MOIM NAJWIĘKSZYM SUKCESEM NIE BYŁO ZAGRANIE W ILUŚ FILMACH I SPEKTAKLACH TEATRALNYCH, A ZAŁOŻENIE SZCZĘŚLIWEJ RODZINY

HALA IZERSKA: POLSKA SYBERIA

Zimą do Chatki Górzystów na Hali Izerskiej docierają głównie biegacze narciarscy. Hala Izerska to tzw. „polski biegun zimna"

Alina Gierak

Dzień zaczynają od kubka gorącej kawy. I to jedyne, co łączy pracowników Chatki Górzystów na Hali Izerskiej z mieszczuchami. Bo gdy my narzekamy na dziesięciostopniowy mróz i 10 cm śniegu, oni uważają, że to normalka. Dopiero przy temperaturze -30 st. C mówią, że ekstremalnie przymroziło. Jak im się żyje na dolnośląskiej Syberii?

Chatkę Górzystów na Hali Izerskiej znają biegacze narciarscy, rowerzyści i piesi turyści. To jest ich ulubiony przystanek podczas wędrówek od stacji Orle lub od przystanku kolei gondolowej na Stogu Izerskim.

Zimą i latem zawsze jest tu sporo ludzi. Przyciąga ich niepowtarzalna atmosfera miejsca, przyjaźni ludzie i słynne naleśniki z jagodami.

Mieszczuchy o Chatce Górzystów słyszą podczas komunikatów meteorologicznych i rekordach zimna. 7 stycznia 2026 r. na Hali Izerskiej odnotowano -31,7 st. C. Takie temperatury robią wrażenie nawet na Kacprze, pracowniku schroniska Chatka Górzystów.

33-latek, z którym rozmawiamy o codzienności w schronisku Chatka Górzystów, jest jednym z jego pięciu pracowników. Pracuje tu od roku, ale jego koleżanka i koledzy spędzili tu po 10 lat i więcej. - To nie jest praca jak każda inna. Ale to nie mróz dokucza nam najbardziej. Do niskich temperatur można się przyzwyczaić i minus 20 nie robi na nas wrażenia. Wystarczy się odpowiednio ubrać - przekonuje Kaper.

Najbardziej dotkliwy jest brak miejsca, ciasnota i monotonność. Kacper porównuje to do pobytu na statku lub na stacji badawczej na Spitsbergenie. Te same twarze, te same czynności. Są na siebie skazani prawie 24 godziny na dobę. - Nie romantyzujmy. Praca w schronisku to ciężka fizyczna harówka - podkreśla Kacper.

Co robią w czasie wolnym? Czytają, rozmawiają z turystami, grają na gitarze, oglądają filmy. Każdy ma jakąś ulubioną aktywność. Kacper lubi spacery i narty. To mu się nigdy nie znudzi. I to są rzeczywiście czasami magiczne chwile. Niebo na Hali Izerskiej to jedno z najciemniejszych miejsc w Europie, co czyni ją idealnym miejscem do obserwacji gwiazd.

Historia budynku schroniska jest intrygująca. To bowiem jedyny dom, jaki został z miejscowości Gross Iser. Wioska została założona w 1630 roku przez ewangelickiego uchodźcę o imieniu Thomas. Stopniowo dołączali do niego kolejni osiedleńcy. Mieszkańcy osady żyli biednie, a utrzymywali się z wypasu bydła i owiec, produkcji serów, przędzenia wełny czy też połowu pstrągów.

Wraz z rozkwitem Świeradowa-Zdroju jako uzdrowiska w drugiej połowie XIX wieku rozbudowała się też Wielka Izera. Osada stała się ulubionym miejscem wycieczek kuracjuszy. W latach 30. XX wieku w Gross Iser były 43 domy mieszkalne, 3 gospody, 2 schroniska, 2 celnice, kawiarnia, leśniczówka, straż pożarna, domek myśliwski oraz stara i nowa szkoła. Sielankę przerwała II wojna światowa.

W latach powojennych mieszkańców wysiedlono, a większość budynków rozebrano, prawdopodobnie na rozkaz wojska. Przetrwał tylko gmach szkolny, który został zdewastowany i ogołocony.

W 1991 roku budynek kupiła Wiesława Polańska, która wraz z mężem wyremontowała go i otworzyła schronisko Chatka Górzystów. Mieszkali tu przed wiele lat z dwójką dzieci. Teraz przenieśli się na dół i do schroniska przyjeżdżają od czasu do czasu.

W Chatce Górzystów zjecie bigos, pierogi, żurek i inne zupy i dania. Ale największą sławę przyniosły im naleśniki z jagodami. Puszyste ciasto z serowym nadzieniem z jagodami smakuje wyśmienicie.

- Jagody zbieramy latem i sami przetwarzamy. Potem wystarczy tylko odkręcić słoik z konfiturą - mówi pan Kacper.

Kiedy jeszcze na Hali Izerskiej istniała wioska Gross Iser, mieszkał w niej Paul Hirt, który prowadził schronisko Gross Iserbaude. Organizował on teatr dla dzieci i był powszechnie lubianą osobą. Kiedy w 1945 r. do Gross Iser wkroczyli Rosjanie, rozstrzelali go i zabronili pochować ciało na cmentarzu. Okazało się, że Paul Hirt spoczywa w miejscu rozstrzelania, czyli na łące nieopodal chatki. Postawili mu krzyż, później kamień z tabliczką. - Przepis na słynne naleśniki zaginął podczas wojny, ale któregoś dnia dostałam natchnienia i je zrobiłam. Myślę, że to duch Paula Hirta, wdzięczny za postawienie mu nagrobka, podszepnął pani Senderowej, aby podzieliła się ze mną sławetnym przepisem - wspominała pani Wiesława. W czym tkwi sekret naleśników? To przede wszystkim jagody z Hali Izerskiej, naturalne produkty i kaflowy piec.

FOT. PRZEMYSŁAW KACZAŁKO

Chatka Górzystów to jedyny budynek po Gross Iser

eprasa.pl 99fb02d9a4

Polska
Poniedziałek, 26.01.2026

FOT. ARCH. GL/MICHAŁ KORN

Tam, gdzie kiedyś stały gmachy, dziś rosną drzewa

CEGŁA PO CEGLE ROZEBRALI I WYWIEŹLI CAŁE LUBUSKIE MIASTO

Niewiele osób odwiedzających zachodnie ziemie województwa lubuskiego wie, że jest takie miejsce, gdzie jeszcze przed 1945 rokiem znajdowało się piękne, dobrze rozwijające się miasto, praktycznie nieskażone wojną. Ale ktoś podjął niecodzienną decyzję o jego rozbiórce. Miasto przestało istnieć

Michał Korn

W latach 40. i 50. XX wieku na wschód wyruszyło tysiące wagonów wypełnionych cegłami, drewnem konstrukcyjnym, kaflami pieców... I nie były to elementy produkcyjne miejscowych cegielni czy tartaków, tylko fragmenty miejskiej architektury: kamienice, pałace, ratusze, domy, tyle że wywożone w kawałkach...

Przełom dla Berge

Już w XIII stuleciu na terenie Forst (miasto za Nysą Łużycką sąsiadujące z Berge, czyli dzisiejszymi Zasiekami) można było znaleźć zamek wraz z towarzyszącą mu osadą. W 1265 roku miejscowość uzyskała status miasta, co zapoczątkowało okres intensywnego rozwoju. Z czasem Forst wyrosło na znaczący punkt na mapie przemysłowej regionu. Przełomowym momentem okazał się rok 1921, kiedy według projektu Rudolfa Kühna wzniesiono Lange Brücke (Długi Most) na Nysie Łużyckiej.

Nowa przeprawa skomunikowała miasto z okolicznymi terenami i przyspieszyła urbanizację wówczas jeszcze wsi Berge (dziś Zasieki), która zaczęła przekształcać się w nową dzielnicę. Jej północną część zaplanowano jako strefę zieleni z parkiem. Z kolei u schyłku lat 30. XX wieku na obrzeżach miasta ruszyła budowa zakładów chemicznych, podporządkowanych produkcji na potrzeby zbrojeniowego przemysłu wojennego (Forst Scheuno).

Urwany most

W momencie, kiedy dojeżdżamy do Zasieków od strony Brodów, nie skręcamy na głównym skrzyżowaniu (rondzie) w lewo, tylko przejeżdżamy jeszcze kawałek prosto. Kilkadziesiąt metrów dalej, naszym oczom ukazuje się surowy, nieco dziwny krajobraz. Z jednej strony mamy przyczółek potężnego mostu w otoczeniu kilku betonowych, modernistycznych latarni. Do tego schody, fragment fontanny, oczodoły piwnic (niestety niektóre zaśmiecone). Około 600 metrów dalej widać starą, zabytkową przeprawę kolejową, a także drugi, mniej okazały most, będący w rzeczywistości kładką dla pieszych, również „urwaną" gdzieś w połowie - ten ostatni obiekt oddalony jest od głównego mostu o około 300 metrów. Normalnie człowiek mógłby nie zwrócić na to wszystko uwagi, ale jeśli na chwilę się tu zatrzymamy, zaczynamy dostrzegać coraz więcej szczegółów i zadawać w duchu coraz więcej nurtujących pytań. Podczas kilku godzin, jedyną osobą, która pojawiła się na miejscu był spacerujący z psem pan Stanisław Malczewski.

- Mieszkam tu w pobliżu, już z 50 lat będzie. Zostało to, co widać. A szkoda, bo to naprawdę piękna miejscowość była. I nadal mogła być. Widziałem zdjęcia. Tu praktycznie nikt się nie zapuszcza, bo tu już nic nie ma. Może poza widokami. Od czasu do czasu jakaś libacja. Są latarnie, zniszczony most, ruiny i mnóstwo ukrytych pod mostem śmieci. To akurat przykry widok. A koncepcji odbudowania albo zagospodarowania tych terenów nie zliczę na palcach rąk. Od groma tego było, ale jak widać nic się nie zmieniło - mówi z zadumą nasz rozmówca.

Można tu było zamieszkać

Nieco więcej szczegółów na temat tego miejsca zdradziła nam przed laty pani Helena...

- Miejscowość nazywała się Scheuno, Forst-Scheuno - wspominała „Gazecie Lubuskiej" Helena Kowalska, która do dzisiejszego Brożka (tuż obok Zasieków - przyp. red.) przyjechała w 1946 roku. - Wtedy tutaj, czyli w Scheuno i Berge, Polaków niemal nie było, a jak już pojawiali się, to byli to głównie szabrownicy - mówi.

Pani Helena nie tylko pracowała w Zasiekach, ale także brała udział w rozbiórce Berge. Prawobrzeżna część Forst była niemal niezniszczona. Ulice rozchodzące się gwiaździście od placu przy moście prowadzącym na drugi, dziś niemiecki brzeg Nysy oświetlone były światłami latarni. Obok znajdowała się fontanna z figurką tkacza na szczycie. Ta, o której wspominaliśmy wcześniej. Tylko w niektórych kamienicach były wybite okna. Wystarczyło je wstawić i można było dalej mieszkać. Dlaczego zatem ktoś uznał, że to miasto nie ma przyszłości? Pani Helena wraz z innymi Polakami, z młotkiem w dłoni, stopniowo wymazywała je z mapy i z powierzchni ziemi.

Halo? Mam informacje

Gdy byłem w trakcie pisania tego artykułu zadzwonił telefon. Pan Witold przedstawił mi się bardzo spokojnie, choć powoli. Głos starszego jegomościa, nieco zachrypnięty. Nazwisko ma długie, ale wymawiał je dość niewyraźnie. Zaryzykuję. Hellermanowski? Hellermann? Dzwonił z telefonu stacjonarnego z... Forst. Mieszka przy Bahnhofstraße.

- Panie Michale, mam informacje, że dwukrotnie był u nas (w dawnym Berge, po drugiej stronie Nysy - dop. red.) dziennikarz i wypytywał o to miejsce. Myślę, że mogę trochę pomóc, coś powiedzieć, chcę się podzielić tym wspomnieniami, żeby jeszcze coś po mnie zostało. Proszę słuchać, przepraszam, mówię trochę niewyraźnie, ale swoje lata już mam - zaczął pan Witold.

Nie przerywałem, słuchałem od czasu do czasu przytakując lub dopytując, dając jednocześnie znać, że po drugiej stronie słuchawki wciąż ktoś jest.

Mówili tylko: „Rozbierać!"

- Pamiętam niemal każdy dzień aż za dobrze. Leciał tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem. Jestem stary, ale pamięć na szczęście nie zawodzi. Stałem ze Zbyszkiem, Jolą i Zdzichem na środku ulicy Feldstrasse (o ile dobrze zrozumiałem - dop. red.) między kamienicami, które wyglądały tak, jakby ludzie wyszli z nich tylko na chwilę. Budynki były zniszczone - jedne bardziej, inne mniej - ale małym nakładem sił można było spokojnie raz dwa to wszystko odbudować. Latarnie jeszcze stały, bruk był równy, bez wyrw i szczelin. Na niektórych ulicach widać było usypane gruzowiska. W oknach wisiały firanki, budynki nie groziły zawaleniem. Wszystko miało solidną, piękną cegłę. A my staliśmy jak górnicy z kilofami, młotkami, miotłami. I nikt nam nie tłumaczył dlaczego. Mówili tylko: „Rozbierać! Będzie na odbudowę Polski, Warszawy, naszych pięknych miast". Każde uderzenie bolało, bo to było piękne miasto, domy, naprawdę świetnie umiejscowione, w sile chwały, niemal nieskażone wojną. Musieliśmy bardzo uważać, żeby bardziej nie niszczyć kruszywa, a cegły starannie układać wcześniej je lekko szczotkując, ale nie była to reguła. Miało się wrażenie, że nie niszczymy czyjegoś, ale nasze własne, bo każdy z nas, jak staliśmy, mógł i chciał w takim miejscu wtedy zamieszkać. Jednak polecenia były inne. Czasem trafiało się na klatkę schodową, na poręcz wytartą dłońmi setek ludzi. Często ze Zbychem zastanawialiśmy się, dlaczego. Brakowało tu sensu. Trzeba podjąć naprawdę przemyślenie i chyba odwagi, by stwierdzić, że to miejsce nie ma przyszłości. Myślałem wtedy tak prymitywnie, że tu przecież mogłyby bawić się dzieci, ktoś mógłby zapalić światło, zamknąć drzwi, zacząć od nowa. Tu dałoby się przekopać i zrobić ogródek, tam coś innego. A jednak kawałek po kawałku burzyliśmy. Do dziś słyszę ten dźwięk, który przez te dziesiątki tysięcy godzin prac utrwalił się w pamięci. Widzę to wszystko. Taka była nasza rutyna i musi mi pan redaktor uwierzyć, że serce pękało, bo myślę, że można to było inaczej rozwiązać. Codziennie leciało setki, tysiące cegieł, mury, ściany,

eprasa.pl 99fb02d9a4

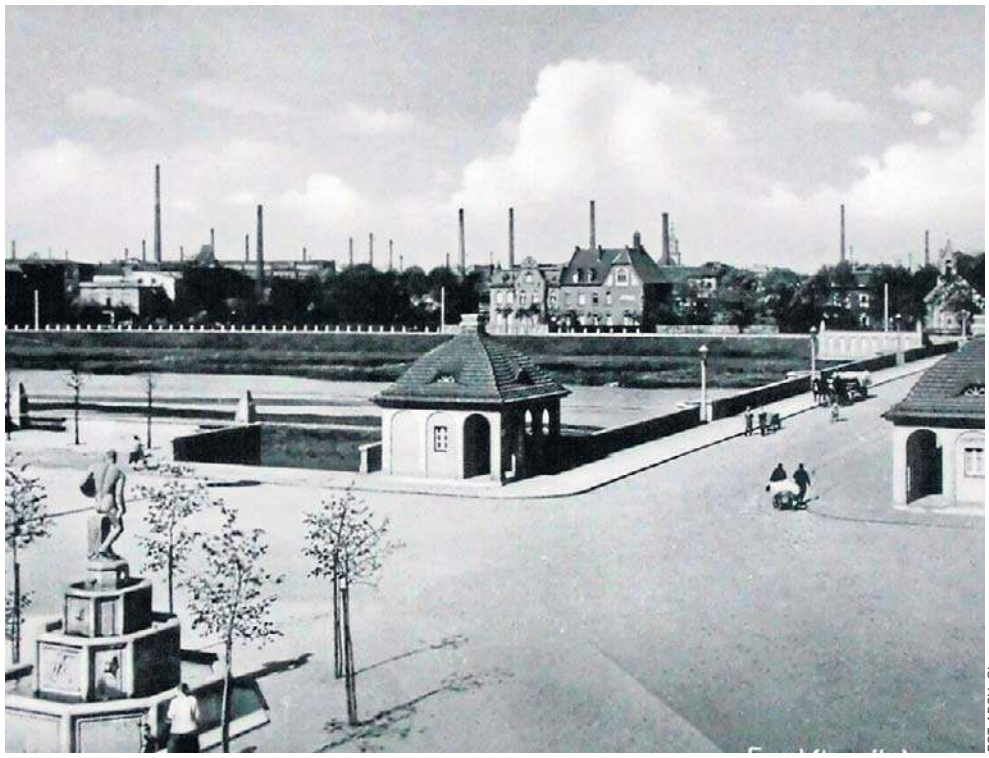

FOT. ARCH. GL

Widok z 1945 roku od wschodu na ówczesny Plac Adolfa Hitlera...

FOT. MICHAŁ KORN

...fotografia współczesna przedstawiająca to samo miejsce od zachodu

okna, piece, wszystko, drzwi, konstrukcje drewniane i metalowe. Pamiętam ciężarówki załadowane po brzegi, które transportowały to do wagonów. Tak, że koła siadały, a tylne osie po bruku szorowały. I taka niemiejska cisza. Tym razem miasto się nie broniło. Bo nikogo już w nim nie było. Ludzi wysiedlono, domy ograbiono. Co można było ukraść, skradziono. Tak było... o tym się nie mówiła, ale tak było. I tak wyglądał nasz każdy dzień - relacjonuje mi przez słuchawkę pan Witold.

Wcale nie czułem, że rozmawiałem z nim ponad pół godziny. Zapytałem, czy jest coś, co najbardziej utkwiło mu w pamięci? Czy ma jakąś pamiątkę z tego okresu? Okazuje się, że całkiem sporo.

- Mam młotek, który miałem wtedy, cegłę z kamienicy stojącej przy moście, taką ładną, czerwoną z wyżłobioną datą „26.01.1949". Mój kolega Maniek mi to zrobił na pamiątkę. Mam też kilka fragmentów drewnianych: kawałek poręczy, klamkę, jakieś papiery, dokumenty, monety. Trochę tego jest. Miałem wtedy 17 lat, a wszystko pamiętam jak dziś - wylicza.

Wywiezienie tysięcznego wagonu

Szacuje się, że rozbiórka Berge trwała kilka lat (1947 - 1952). Dziś jednak wiemy, m.in. z opowiadań naszych rozmówców, że trwało to nieco dłużej, choć dokładna data nie jest znana.

- Każdy inaczej przeżywał to co robił w Zasiekach tuż przy Nysie. To było widać po zakończeniu dnia roboczego, o tym się też rozmawiało. Każdy inaczej to widział, ale wiedzieliśmy też, że to miejsce do życia niebezpieczne. Oni jeszcze bardziej to niebezpieczeństwo podsycali - objaśnia pan Witold. Wszędzie niewybuchy, albo tereny zaminowane, tuż obok Niemcy, których postrzegano jako wroga, agresora, niebezpieczeństwo.

- Pamiętam bal, który urządzono nam z okazji wywiezienia tysięcznego wagonu cegieł, które jechały na odbudowę stolicy (wówczas myślano, że to wszystko jedzie na Warszawę - dop. red.). To była niezapomniana zabawa w Zasiekach, kiedy nagle ktoś (mówiono, że to niemieckie bojówki) wrzucił granat w miejsce gdzie wszyscy staliśmy. W ostatniej chwili jakiś żołnierz, który zachował trzeźwość umysłu, go wyrzucił - wspominała pani Helena. - Czasem myślę sobie, że ta warszawska starówka to w dużej mierze nasze Berge...

I tak właśnie na oczach pana Witolda, pani Haliny i innych Polaków oraz Niemców, Berge po prostu zniknęło. Jak mówiła nam pani Helena, ludzie się bali. Za blisko były Niemcy, bardzo dużo było śmiercionośnych niewypałów.

- Na dodatek strefa przygraniczna oznaczała mnóstwo ograniczeń no i istniała ta niebezpieczna fabryka Forst-Scheuno. To tutaj znajdowały się tajne zakłady chemiczne. Cały ten obszar był jedną wielką pułapką - wyjaśnia.

W Archiwum Państwowym w Zielonej Górze znajdują się pożółkłe, nieco zakurzone dokumenty z wykazem materiałów znajdujących się w 1946 roku w magazynach w Gubinie. Były to cegły, końcówki rur, klapy ściekowe, skrzydła okienne, drewno konstrukcyjne i inne. Przy każdej pozycji znajdowała się również cena. Rury ściekowe to wydatek 300 zł, kocioł do pralni to kolejne 300 zł, ale winda osobowa to już pół miliona zł - niemal wszystko było wycenione.

- Ludzie nie kwapili się z zasiedleniem miasta tak blisko granicy, zresztą to była obwarowana wieloma ograniczeniami strefa nadgraniczna, nawet dwoma piekarniami zarządzały wojska pogranicza. Ale był też powód praktyczny. Media tego miasta były ściśle powiązane z Forst, które leżało na drugim brzegu teraz granicznej Nysy - wyjaśnia nam Dariusz Chajewski, były dziennikarz „Gazety Lubuskiej", regionalista i pasjonat historii.

Jak wykazały analizowane dokumenty, na liście odbiorców m.in. cegły z rozbiórki, widać głównie osoby prywatne. Co więcej, surowiec trafiał przede wszystkim do Wielkopolski. Gdy ktoś tu na miejscu dokonywał rozbiórki własnymi siłami, zyskiwał materiał za połowę ceny. W 1957 roku prowadzono kontrolę tych prac. Z czasem wyszły na jaw nieprawidłowości. Część uczestników rozbiórek zabierała znacznie więcej cegieł, niż wynikało to z dokonanych opłat.

Tempo prac dodatkowo przyśpieszono na skutek realizacji planu sześcioletniego, kiedy deficyt materiałów budowlanych stał się szczególnie dotkliwy, a krajowe zakłady nie były w stanie zaspokoić rosnącego zapotrzebowania. „Główne brygady murarskie", zobowiązane do realizacji wyśrubowanych norm, desperacko potrzebowały surowca w postaci cegieł.

Założono, że tylko w 1951 roku odzyskanych zostanie 500 mln sztuk cegieł, z czego z ówczesnego województwa zielonogórskiego 95 mln. I tak z powiatu gubińskiego miano wywieźć 9,7 mln cegieł, z głogowskiego 10 mln, a z żarskiego 27 mln sztuk surowca. Do realizacji tego planu walnie przyczyniły się właśnie m.in. Zasieki.

- Z tego zinstytucjonalizowanego szabru zwolnione zostały tylko dwa miasta: Zielona Góra i Wschowa. Pierwsze miało zostać w najbliższym czasie stolicą regionu, a drugie zawsze było traktowane jako historycznie polskie, zatem łupieżczy rabunek był niepolityczny - podkreśla Dariusz Chajewski.

Jak się okazuje, w zasadzie nigdy tej operacji grabieży oficjalnie nie zakończono. Z oficjalnych danych wynika, że jeszcze w latach 1956 - 1957 wciąż pociągi wypełnione cegłami i innymi materiałami budowlanymi jechały na wschód.

FOT. ARCH. GL

Ulica dawnego Berge

Żaden transport nie zmierzał do Warszawy

Cała operacja była podsycana bardzo budującymi hasłami. Panowało przekonanie, że ten cały proceder miał na celu pomóc w odbudowie stolicy. Nic bardziej mylnego. Historycy rozwiewają wszystkie wątpliwości z tym związane. Na przykład Maciej Mamet prześledził los kilkuset transportów cegieł, które odjechały właśnie z Zasieków. Ani jeden nawet nie zmierzał do Warszawy. Przystankami były m.in. Łowicz, Ostrów, Krotoszyn. Czasem adresatami były państwowe gospodarstwa rolne lub gminne spółdzielnie, ale z reguły były to, jak już wcześniej wspomnieliśmy, osoby prywatne.

Wyjaśnijmy również, że zanim rozpoczęto właściwe rozbiórki, te wszystkie obiekty zostały (zgodnie z urzędowymi procedurami) doszczętnie opróżnione z wyposażenia. Demontaż prowadzili nie tylko szabrownicy działający na własną rękę, lecz także urzędnicy reprezentujący państwowe instytucje, w tym Rejonowe Urzędy Likwidacyjne, które wyciągały z budynków wszystko, co nadawało się do wywiezienia. Od 1948 roku oficjalnie dopuszczano już tylko transport cegły oraz drewna konstrukcyjnego. W efekcie tereny, które miały być odbudowywane i zagospodarowywane, stały się symbolem bezwzględnej eksploatacji. Ziemie Odzyskane stały się wyzyskanymi.

Plany o dbudowy

W studium uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego gminy Brody, o czym wspominał też wcześniej nasz rozmówca pan Stanisław, zapisano odbudowę Zasiek.

- Do lat dziewięćdziesiątych było tu dużo wojska, teren był taki trochę niedostępny. Ale później te plany odbudowy miasta pojawiały się i to nie raz. Ponoć nawet sprzedawano inwestorom działki z fundamentami starych kamienic obok mostu - mówi Stanisław Malczewski.

W 1995 roku zakładano, że powstanie tutaj miasto mogące docelowo liczyć około 5 tys. mieszkańców. Tu miała zostać przeniesiona siedziba gminy, planowano odtworzyć układ ulic, a nawet fragmenty kanalizacji. Miał wrócić Długi Most i kładka. Most miał stanąć do 2013 roku. Tak się jednak nie stało. Dziś, poza hulającym wiatrem naszym oczom ukazuje się robiący ogromne wrażenie surowy krajobraz z ruinami w tle. A po tętniącym życiem miejscem pozostały jedynie zdjęcia i widokówki.

eprasa.pl 99fb02d9a4

Polska
Poniedziałek, 26.01.2026

RAJD MIRONOWA CZY BARSUKOWA? JAK ROSJANIE ZDOBYLI LOTNISKO ŁAWICA

Gdy 23 stycznia 1945 roku Rosjanie rozpoczynali uderzenie na Poznań, na Ławicy jeszcze stały samoloty, które miały rozbijać rosyjskie czołgi. Nie udało im się wystartować – śmiały atak niewielkiego wydzielonego oddziału spowodował, że lotnisko zostało zdobyte w walce

Grzegorz Okoński

W 1944 roku Niemcy nie mieli złudzeń, że ich Blitzkrieg nie tylko się zatrzymał, ale, że będą musieli liczyć się z wycofywaniem swoich wojsk i planowaniem linii obrony. Między Wisłą a Odrą zaplanowali wytyczenie pięciu linii obronnych, opierających się o miasta, które miały być ogłoszone twierdzami. W dobie dużego nasycenia artylerią, lotnictwem i szybko posuwającymi się do przodu oddziałami pancernymi, twierdze nie mogły przyczynić się do wygrania wojny, mogły jednak angażować sporą część sił nacierających wojsk wroga i opóźniać ostateczne natarcie na Berlin. Tym samym kupowałyby czas dla użycia „cudownych broni", zapowiadanych przez Adolfa Hitlera. Poznań był częścią linii „c", środkowej, między Wałem Pomorskim i Głogowem, wraz z Piłą położony był w jej centralnej części, w dodatku - na linii łączącej Warszawę z Berlinem. Siłą rzeczy - miał być zdecydowanie broniony.

Żukow miał przewagę

Do obrony miasta Niemcy przeznaczyli garnizon liczący 10 tysięcy żołnierzy oraz 12 tysięcy żołnierzy ze 192. Dywizji Zapasowej, oddziałów szkolnych i szkół wojskowych, a także niemających żadnej wartości bojowej i bardzo słabo uzbrojonych członków pospolitego ruszenia - tzw. Volkssturmu. W praktyce - według źródeł niemieckich - w Poznaniu miało walczyć około 10-12 tysięcy żołnierzy, według źródeł rosyjskich - nawet 60 tysięcy żołnierzy. Poznański historyk Michał Krzyżaniak szacuje liczbę obrońców na 15-20 tysięcy ludzi.

Rosjanie rozpoczęli 12 stycznia 1945 roku wielką ofensywę - operację wiślańsko-odrzańską, w ramach których na zachód parły armie frontów: 1. Białoruskiego pod dowództwem Gieorgija Żukowa (ten nacierał w kierunku Warszawy i Poznania), 1. Ukraińskiego - marszałka Iwana Koniewa i 2. Białoruskiego - marszałka Konstantego Rokossowskiego. Sam tylko Żukow miał pod rozkazami ponad milion sto tysięcy czerwonoarmistów w ośmiu armiach ogólnowojskowych i dwóch pancernych. Już 22 stycznia pierwsze czołgi i oddziały zmechanizowane 1. Armii Pancernej Gwardii dotarły do Poznania. Rosjanie oczyszczali z Niemców teren dawnego Warthegau i już 25 stycznia ruszyli dalej na zachód, pozostawiając pod Poznaniem kilka dywizji i artylerię.

Szansa w Ławicy

Niemcy nie mieli sił, by atakować podchodzące oddziały, mogli jednak osłabiać je uderzeniami z powietrza. Dysponowali bowiem lotniskiem Ławica, tym samym, które zostało zdobyte przez powstańców wielkopolskich 6 stycznia 1919 roku i zajęte ponownie przez Niemców we wrześniu 1939 roku. Zorganizowali tu lotniczą bazę szkoleniową dla załóg szybowców transportowych, centrum zaopatrzenia i ośrodek remontowy dla samolotów. W 1944 roku lotnisko miało około 1830 metrów długości i około 1325 metrów szerokości, pas startowy trawiasty o długości 1550 metrów, pięć hangarów, budynki administracyjne, warsztatowe i koszary. W 1944 roku lotnisko było w zasięgu baterii przeciwlotniczych, chroniących fabrykę DWM - czyli Cegielskiego, fabrykę Focke-Wulfa w Krzesinach i właśnie Ławicę. Dzisiejsze zachodnie źródła podają, że w sumie Poznań miał być chroniony przed lotnictwem wroga przez 48 dział przeciwlotniczych kalibru 88 mm.

O lotnisku Ławica i o obecności lotnictwa niemieckiego w mieście wiedzieli podchodzący pod miasto Rosjanie, którym osłonę z powietrza zapewniały cztery dywizje lotnictwa myśliwskiego - i część 265. dywizji myśliwskiej. Mieli też dywizje lotnictwa szturmowego i bombowego. Niemcy nie mogli liczebnie równać się z nimi w żaden sposób.

Adam Pleskaczyński w „Bezpowrotnych stratach osobowych Armii Czerwonej w walkach o Poznań w styczniu i lutym 1945 roku" podaje, że samoloty rosyjskie operowały nad Poznaniem co najmniej od 22 stycznia, wtedy już Rosjanie próbowali wziąć miasto z marszu. 24 stycznia oskrzydlili Poznań, a w międzyczasie zajęli Krzesiny i przeprowadzili śmiały atak na Ławicę. Lotnisko było jednym z ostatnich sposobów na wydostanie się z miasta, i mogło być wykorzystane do kontrataków.

FOT. ARCHIWUM

Nowoczesny myśliwiec przechwytujący Me-410 z działkiem 50 mm: według kroniki filmowej, miał być zdobyty na Ławicy. Niemcy jednak nie potwierdzają takiej straty

Rajd wyłączył bazę

W literaturze tematu przyjmuje się, że 23 stycznia niewielki oddział rosyjski obszedł Poznań i dotarł do Ławicy.

- Wyczynem dnia był jednak nocny rajd grupy zwiadowczej 20. brygady zmechanizowanej gwardii pod dowództwem mjr Iwana Mironowa (trzy samochody pancerne i cztery transportery opancerzone). Mironow obszedł skrycie miasto przez Żabikowo i zaatakował lotnisko na Ławicy od zachodu, z kierunku, z którego Niemcy uderzenia się nie spodziewali. Co tam się działo w ciągu tych kilkunastu minut śmiałego ataku! Ogarnięta paniką załoga sama zniszczyła ponad sto znajdujących się tam samolotów. A o to właśnie chodziło, aby przestały one nękać przeprawy pod Czapurami i Różanym Młynem - pisał w 1985 roku Tadeusz Świtała w Kronice Miasta Poznania.

Rzeczywistość mogą być jednak nieco inna. Adam Pleskaczyński prostuje bowiem, że major Iwan Mironowicz był zastępcą dowódcy 21. Brygady Zmechanizowanej Gwardii i raczej mało prawdopodobne, aby objął on dowodzenie nad oddziałem żołnierzy wywodzących się z innej brygady.

- Ponadto udział 21. Brygady Zmechanizowanej Gwardii w zdobyciu lotniska na Ławicy potwierdzają bez żadnej wątpliwości raporty strat bezpowrotnych. 23 stycznia odnotowano na Ławicy poległych wyłącznie z kompanii zwiadu oraz kompanii artylerii przeciwpancernej, które wchodziły w skład 21. Brygady - podaje A.Pleskaczyński. - Prawdopodobnie w akcji wzięli również udział żołnierze rozpoznania z 8. Samodzielnego Batalionu Motocyklowego Gwardii pod dowództwem lejtnanta Aleksandra Jakowlewicza Barsukowa; wskazuje na to rosyjski autor A. M. Sobolew, który nawet w ogóle nie wspomina o udziale w walkach o Ławicę pododdziałów z 20. lub 21. Brygady.

Inna nieścisłość dotyczy setki zniszczonych samolotów. Prezentowana w środkach masowego przekazu rosyjska kronika filmowa, pokazująca walki o Poznań, w kwestii Ławicy skupia się na dwóch rodzajach ujęć: stojących dość bezładnie lub w hali samolotów i - na zdjęciach wykonanych z lecącego nad lotniskiem samolotu z operatorem filmowym - szeregu maszyn oraz pojedynczych, niewyraźnych z powodu jakości materiału punktów, które mogą też być samolotami. Pierwsze zdjęcia pokazują dwusilnikowe nowoczesne myśliwce Me-410, z których jeden uzbrojony jest w działko BK5 kalibru 50 mm przeznaczone do zwalczania ciężkich bombowców alianckich. Co ważne, na tych zdjęciach samoloty wyglądają na nieuszkodzone.

Tymczasem wykaz strat Luftwaffe w tych dniach wykazuje pod datą 21 stycznia utratę myśliwskiego Fw-190A-8 z JG6 w Poznaniu, Fw-190F-8 z eskadry szturmowej SG77 w Krzesinach, kolejnych czterech takich samych maszyn z tej samej jednostki 22 stycznia w Poznaniu, i jednej w Krzesinach, a także łącznikowego Fieselera Fi156 C3 w Krzesinach. W dniu 23 stycznia niemieckie siły powietrzne straciły w Poznaniu cztery myśliwce Fw-190 A-8 z JG6.

Już po zdobyciu Ławicy, 24 stycznia nad Poznaniem stracono Fw-190 F-8 z SG77, a 25 stycznia - kolejny taki myśliwiec z tej jednostki, a także myśliwce Fw-190A-9 z JG301 oraz Fw-190A-8 z JG11. Kolejne Focke Wulfy stracono 27 stycznia - z JG4 i w nocy - z jednostki nocnej NJG2.

- Listę strat zamykają jeszcze jeden Fw-190, transportowy Junkers Ju-72 i aż dwanaście bombowców nurkujących Ju-87 Stuka w wersji G-2, czyli uzbrojonych w podwieszane pod skrzydłami dwa działka przeciwpancerne kalibru 37 mm - mówi Michał Krzyżaniak, historyk, autor pracy „Obraz bitwy o Poznań (1945) w świetle dokumentów i materiałów niemieckich". - Te bombowce, kompletnie już przestarzałe w 1945 roku, mogły jednak skutecznie niszczyć rosyjskie czołgi. Nie zostały jednak użyte...

Wszystkie te samoloty, poza trójsilnikowym Junkersem są napędzane pojedynczymi silnikami, nie ma też wśród nich Messerschmittów 410. W sumie na zdjęciach z kroniki można doliczyć się około 12-13 samolotów. Można więc przyjęć, że dla potrzeb dokumentu filmowego zmontowano zdjęcia z innych lotnisk, tym bardziej że jeden z Me-410, właśnie ten z działkiem, znany jest z fotografii przedstawiającej go w otoczeniu rosyjskich żołnierzy, a podpisanej, że została wykonana w Prusach Wschodnich.

Po zakończeniu walk o Poznań lotnisko Ławica użytkowane było przez Rosjan. Rosyjska kronika filmowa pokazuje, jakoby stąd startowały bombowce Pe-2 i myśliwce Ła-5FN.

eprasa.pl 99fb02d9a4

Jak rozszerzał się Układ Warszawski

W styczniu 1956 r. armię NRD przyjęto do Układu Warszawskiego. Stało się to 28 stycznia, dokładnie 10 dni po zakończeniu formowania przez NRD własnych sił zbrojnych

Mariusz Grabowski

Oblicza się, że Narodowa Armia Ludowa (Nationale Volksarmee - NVA) NRD liczyła wówczas ok. 18 tys. żołnierzy, z czego blisko 30 proc. było wcześniej członkami Wehrmachtu. To oni mieli walczyć z „imperialistycznymi faszystami", także z tymi z Bundeswehry.

Rodzi się Układ

Układ Warszawski, czyli Układ o Przyjaźni, Współpracy i Pomocy Wzajemnej, sojusz państw bloku wschodniego z dominującą rolą Związku Radzieckiego, był reakcją na pojawienie się Organizacji Traktatu Północnoatlantyckiego (NATO). Miał politycznie, gospodarczo i militarnie potwierdzać podporządkowanie ZSRR państw Europy Środkowo-Wschodniej w konfrontacji z Zachodem.

Nazwa „Warszawski" pochodzi stąd, że Układ podpisano 14 maja 1955 r. w warszawskim pałacu Rady Ministrów. Wszedł w życie 4 czerwca, gdy dokumenty akcesyjne złożył ostatni z dziewięciu krajów członkowskich - Ludowa Republika Albanii. Jeśli chodzi o stronę militarną Układ „Warszawski" powinien raczej nosić nazwę „Moskiewski", ponieważ to w stolicy ZSRR ustanowiono jego wspólne dowództwo. Sztaby wojsk państw członkowskich podlegały X Zarządowi Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych ZSRR, a naczelny Dowódca Zjednoczonych Sił Zbrojnych Układu pełnił jednocześnie funkcję I Zastępcy Ministra Obrony państwa radzieckiego.

Amie „miłujące pokój"

Inicjatywa powstania Układu wyszła od I Sekretarza Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego - Nikity Chruszczowa. I jak wszystkie podobne dokumenty ogólnikową treścią miał maskować swój agresywny charakter.

Zgodnie z art. 11 Układ Warszawski miał obowiązywać przez 30 lat, ale w 1985 r. jego ważność przedłużono o następne dwie dekady, z możliwością przedłużenia o kolejną w razie niewypowiedzenia. W praktyce Istniał do 1 lipca 1991 r.

Po co Rosjanom były potrzebne socjalistyczne armie? Historycy zgodni są przecież, że w doktryna wojenna ZSRR opierała się na radzieckiej strategii prowadzenia działań wojennych w formie „zmasowanych uderzeń rakietowo-jądrowych połączonych z błyskawicznym natarciem w skali strategicznej w celu opanowania terytorium przeciwnika i pozbawienia go możliwości kontynuowania wojny".

Co więcej, dopuszczano możliwość wykonania tzw. „uprzedzających uderzeń jądrowych" w sytuacji stwierdzenia zagrożenia niespodziewanym atakiem. Był to odpowiednik amerykańskiej doktryny „zmasowanego odwetu". Polacy, Czesi, Bułgarzy i Niemcy z NRD zapewnić mieli zapewne „koalicyjność" sojuszu, która przejawiała się w podzieleniu militarnych zadań między państwa członkowskie.

Siły Zbrojne Związku Radzieckiego miały wykonać uderzenia strategiczne z użyciem broni jądrowej, działania na morzach i oceanach realizować miały połączone floty państw Układu, natomiast działania na kontynencie europejskim miały prowadzić siły lądowe i lotnictwo taktyczne wszystkich państw Układu. Czyli Polacy mieli zająć Danię, a wschodni Niemcy maszerować - via Ren - na Hiszpanię.

W pierwszym szeregu

Na początku XXI stulecia w archiwach po Narodowej Armii Ludowej odnaleziono papiery świadczące o tym, że w razie konfliktu Wschód-Zachód miała ona odegrać wyjątkową rolę w planach Układu Warszawskiego: dokonać uderzenia „inicjującego". Dziennikarz Matthias Hoferichter, autor cyklu wyemitowanych w programie ZDFInfo dokumentów ujawnił, że trzecia wojna światowa miała się rozpocząć od natarcia NVA na północne Niemcy. Zajęcie terytorium obrzuconego bombami atomowymi przez Rosjan miało potrwać sześć dni.

Nawet dzisiaj brzmi to dość fantastycznie. Niecałe 20 tys. wschodnioniemieckich wojaków miało spacyfikować ogromne terytorium i znacznie większą armię swoich pobratymców. Nawet wziąwszy pod uwagę, że była to formacja ochotnicza, a więc o silnym morale (pobór w NRD wprowadzono dopiero w 1962 r., co pozwoliło powiększyć jej stan do 170 tys. żołnierzy.), to taką bratobójczą wojnę w kłębach pyłów radioaktywnych trudno sobie wyobrazić.

FOT. CC

Erich Honecker (1972) odbiera wojskowe honory. Narodowa Armia Ludowa NRD została rozwiązana po Zjednoczeniu Niemiec w 1990 r.

Ani słowa o III Rzeszy

Dodajmy do tego, że spora część owych ochotników było dawnymi żołnierzami III Rzeszy, a stanowiska dowódcze były obsadzone przez dawnych wehrmachtowskich oficerów (61 na 82). Tylko część przeszła indoktrynację w założonej w 1953 r. Akademii Wojskowej im. Friedricha Engelsa w Dreźnie. „Faszystów" ani „zbrodniarzy hitlerowskich" w NRD, według haseł propagandowych, nie było. Wprawdzie specjalnie utworzony w enerdowskim Ministerstwie Bezpieczeństwa Państwowego tzw. Tajny Wydział 9/11 miał zasób dokumentów o obywatelach NRD (a także RFN) naznaczonych brunatną przeszłością, ale wiedza ta była wykorzystywana przeważnie instrumentalnie, głównie wtedy, gdy trzeba było na kimś wywrzeć presję. Oficjalnie na NRD nie ciążyła wina hitlerowskich zbrodni i pierwsze na ziemi niemieckiej państwo robotników i chłopów mogło bez obciążeń ideologicznych „walczyć z faszystami z Zachodu o pokój".

„Ojcowie założyciele"

Wedle analityków NATO Narodowa Armia Ludowa była najwartościowszą militarnie częścią Układu Warszawskiego. Wskazywano nawet imiennie wyższych oficerów, którzy nadają jej „ofensywny" charakter. Wymieńmy m.in. generała-pułkownika Willy'ego Shtofa (1914-1999), który w latach 1952-1955 pełnił funkcję ministra spraw wewnętrznych. Ten komunista z przedwojennym rodowodem, w sowieckim obozie jenieckim przeszedł specjalne szkolenie w Kursach antyfaszystowskich, a potem został skierowany do Wschodnich Niemiec. Albo generała-porucznika Heinza Hoffmanna (1910-1985), którego można nazwać drugim, obok Stoffa „ojcem założycielem" Narodowej Armii Ludowej. Już w wieku 16 lat wstąpił do Komunistycznej Ligi Młodzieży Niemiec. Przed wojną ukończył szkolenie w Międzynarodowej Szkole Lenina w Moskwie, walczył w Hiszpanii, a po wybuchu wojny był politrukiem w Armii Czerwonej.

Dodajmy jeszcze szefa Sztabu Generalnego NVA - generała-pułkownika Heinza Kesslera (1920-2017), w młodości członka młodzieżowej Komunistycznej Partii Niemiec. Jako jeniec pod koniec 1941 r. zgłosił się do Szkoły Antyfaszystowskiej, następnie zajmował się działalnością propagandową wśród jeńców wojennych i pisał odezwy do żołnierzy Wehrmachtu. Już później, w latach 80. Kessler dosłużył się najwyższego stopnia wojskowego w enerdowskich siłach zbrojnych - generała armii (Armeegeneral), oraz powołany został na stanowisko Ministra Obrony Narodowej NRD i członka Komitetu Ministrów Obrony Układu Warszawskiego. Nazywano go „najważniejszym człowiekiem w NRD".

Atom dla Niemców

Podstawowa strategia Układu Warszawskiego - zmasowany atak na Zachód - była aktualna przez ponad kilkadziesiąt lat. Potem doktrynę, na skutek układu sił między Układem a NATO, zmodyfikowano. Zgodnie z planem z 1983 r. wschodnioniemieckie siły zbrojne miały być gotowe do odparcia ataku przeciwnika, przeprowadzenia niszczycielskich kontrataków i natychmiastowego zniszczenia sił przeciwnika na jego terytorium. Owa 5 Armia NVA, stacjonująca na obszarze Meklemburgii, miała w nowej doktrynie przywilej: „Na wypadek wojny planowano wydanie broni jądrowej dla 5 Armii NVA, która była przechowywana przez siły zbrojne Związku Sowieckiego w magazynie broni specjalnej Himmelpfort" - pisze Wojcieszak. Cele pozostały te same: rozbicie, a następnie zniszczenie - silnymi uderzeniami lotniczo-pancernymi - wojsk 1 Korpusu Holenderskiego, zdobycie Dolnej Saksonii i dotarcie do Renu.

Koniec snu o potędze

Po przegranej zimnej wojnie i zawirowaniach politycznych w latach 1989-1990 państwa członkowskie postanowiły, że stacjonujące w krajach Układu wojska radzieckie powinny opuścić te państwa. 25 lutego 1991 r. w Budapeszcie podpisano umowę o zaprzestaniu współpracy wojskowej w ramach Układu Warszawskiego, a 1 lipca 1991 r. w Pradze oficjalnie rozwiązano jego struktury polityczne. Oznaczało to ostateczną likwidację sojuszu.

Narodowa Armia Ludowa NRD została rozwiązana po Zjednoczeniu Niemiec w 1990 r., a jej infrastruktura i uzbrojenie przejęte przez Bundeswehrę, czyli jej dotychczasowego wroga.

Z 36 tys. oficerów i podoficerów przyjęto do Bundeswehry tylko 3,2 tys. (po obniżeniu im rangi o jeden stopień), a resztę zwolniono. Całe uzbrojenie NVA, w większości radzieckie, zostało również przejęte przez Bundeswehrę, a następnie prawie całe (oprócz wyjątków, m.in. samolotów MiG 29) wycofane ze służby, pocięte na żyletki lub sprzedane za granicę.

POLSKA METROPOLIA WARSZAWSKA

Redaktor naczelny **Arlena Sokalska**
Z-ca redaktora naczelnego **Agaton Koziński**
Prezes Makroregionu **Aureliusz Mikos**
Dyrektor centralnego biura reklamy **Witold Trzciński**
Dyrektor marketingu Polska Press **Rafał Piasecki**

Redakcja ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00, faks: 22 201 42 01
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Druk Drukarnia ZPR Media S.A.,
04-190 Warszawa, ul Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA
Wydawca **Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**
Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Tomasz Osoliński**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.polskatimes.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

eprasa.pl 99fb02d9a4

pod PARAGRAFEM

W KINACH

Armagedon, ale na wesoło
6 lutego w kinach pojawi się horrorowo-kryminalno-komediowe „Skażenie" w reż. Jonny Campbell. Zaraźliwy i nieustannie mutujący mikroorganizm został zamrożony i zamknięty w strzeżonym laboratorium wojskowym, jednak zmiana klimatu powoduje jego ożywienie. W rolach głównych: Liam Neeson, Joe Kerry i Georgina Campbell.

ZA TYDZIEŃ

Towarzysze z PPS i wielka gra wywiadów
Józef Piłsudski nie bał się kontaktów z agentami Japonii i Austro-Węgier. Wróg jego wroga był przecież jego przyjacielem.

FOT. CC

Kariera Yaakova Levsteina, „Dynamite Mana" – kilera z Irgunu

W. Rodak, L. Strzyga
redakcja@polskatimes.pl

Żydowska organizacja terrorystyczna Irgun działała w Brytyjskim Mandacie Palestyny w latach 1931-1948. Od początku za podstawowy cel stawiała sobie walkę z Arabami i Brytyjczykami.

Od lata 1936 roku na Bliskim Wschodzie wrzało. Arabowie zbuntowali się przeciwko brytyjskiej władzy. Wybuchło powstanie, którego licznymi ofiarami padali nie tylko funkcjonariusze Imperium Brytyjskiego, ale również Żydzi. Ci ostatni nie pozostawali dłużni Arabom. Od 1937 r. Irgun Cwai Leumi (pol. Narodowa Organizacja Zbrojna) – konspiracyjna żydowska organizacja paramilitarna – przeprowadziła szereg zamachów terrorystycznych wymierzonych w arabską ludność cywilną.

FOT. CC

Jerozolimski hotel King David po zamachu Irgunu w 1946 roku. Zginęło wtedy 91 osób, w tym 28 Brytyjczyków, 41 Palestyńczyków i 17 Żydów

Sadysta Cairns

Niektóre z nich były niezwykle krwawe. 25 lipca 1938 roku w eksplozji na bazarze w Hajfie zginęło 53 ludzi. 27 lutego 1939 r. w serii ataków Irgunu na terenie całej Palestyny poniosły śmierć 33 osoby. Po zamachu bombowym na rynku w Hajfie z 19 czerwca 1939 r. odnotowano 20 ofiar śmiertelnych, w tym osiem kobiet i dwoje dzieci. Przeciążone brytyjskie siły porządkowe w Palestynie, funkcjonujące w warunkach stanu wojennego, nie wahały się sięgać po drastyczne środki, byle tylko uspokoić sytuację w kolonii.

Na celowniku policji znaleźli się zwłaszcza żydowscy nacjonalistyczni ekstremiści z Irgunu, Betaru i Partii Rewizjonistycznej. Aresztowanych często poddawano okrutnym torturom, takim jak np. miażdżenie genitaliów. W tego typu praktykach lubował się zwłaszcza inspektor Ralph Cairns z Jerozolimy.

Działacze Irgunu wielokrotnie ostrzegali sadystycznego policjanta, że jeśli nadal będzie tak postępował z ich pojmanymi towarzyszami, to zostanie zabity. Cairns mimo to nie łagodniał, lecz przygotował się na ewentualne starcie z zamachowcami. Nie rozstawał się z bronią i kamizelką kuloodporną, poruszał się w towarzystwie ochroniarza, inspektora Ronalda Barkera.

A może mina?

Latem 1939 roku Irgun wydał na Cairnsa wyrok śmierci. Niełatwe zadanie likwidacji jego osoby powierzono Yaakovowi Levsteinowi – 21-letniemu specjaliście Irgunu od „brudnej roboty", który raptem kilka miesięcy wcześniej ukończył kurs wojskowy w Polsce. Młodzieniec miał już na koncie wiele udanych akcji. I tym razem przystąpił do dzieła z zimną zawziętością.

Najpierw jego ludzie, przebrani za Arabów, dyskretnie śledzili ostrożnego Cairnsa przez kilka dni. Udało im się ustalić, że w porze obiadowej zawsze wraca on do swojego mieszkania w dzielnicy Gan Rehavia.

Terrorysta stwierdził, że wobec środków bezpieczeństwa stosowanych przez Cairnsa „tradycyjna" metoda likwidacji z użyciem broni palnej nie wchodzi w grę. Istniało zbyt duże ryzyko fiaska lub niepotrzebnych strat. Dlatego też Levstein zdecydował się użyć zdalnie odpalanej miny.

Rozerwani na kawałki

Wieczorem 25 sierpnia 1939 roku trzech członków drużyny Levsteina zakopało minę (do jej produkcji użyto aż około 15 kg żelatyny wybuchowej) na środku ścieżki, którą codziennie przemierzał Cairns z ochroniarzem. Kabel, do którego miał być podłączony detonator, dla kamuflażu przysypano żwirem.

Następnego dnia o godz. 11.30 na miejscu zjawił się Chaim, bojownik Irgunu, który miał za zadanie odpalić minę. Gdy ujrzał Cairnsa – ubranego w charakterystyczny kapelusz z piórkiem – i towarzyszącego mu Barkera nacisnął przycisk. Wówczas cała dzielnica zatrzęsła się od siły eksplozji. Obaj funkcjonariusze zginęli na miejscu, rozerwani na kawałki.

Po udanej akcji Levstein cieszył się jak dziecko. Jego wspomnienia nie wskazują, by miał jakiekolwiek wyrzuty sumienia, zabijając lub organizując zamachy w imię niepodległego Izraela, nawet gdy przy okazji ginęli cywile. Pomysłowość, z jaką wykorzystywał materiały wybuchowe, spowodowała, iż prasa ochrzciła go mianem „Dynamite Mana".

Narodziny fanatyka

Yaakov był pierworodnym synem Jerachmiela i Belli Levsteinów. Przyszedł na świat 5 września 1917 r. w pogrążonej w chaosie rewolucyjnych zmian Rosji. A dokładnie w Lisiczańsku, osadzie położonej niespełna sto kilometrów nad zachód od Ługańska (dziś wschodnia Ukraina). W 1925 roku Levsteinowie, jak setki tysięcy Żydów z Europy w owym czasie, wraz z dwójką dzieci zdecydowali się wyemigrować do zarządzanej przez Brytyjczyków Palestyny. Początkowo osiedli w Tel Awiwie.

Niedługo potem ich osiedle zostało zaatakowane przez muzułmanów. Chłopiec przyłączył się wtedy do grupy samoobrony, uzbrojony jedynie w kij nabijany gwoździami – swoją pierwszą broń. Te wydarzenia ukształtowały na resztę życia postawę ideową Levsteina.

Na początku 1935 r., podczas nauki w elitarnej Herzliya High School, Yaakov Levstein spotkał kilku młodzieńców o podobnych poglądach. Wstąpił razem z nimi w szeregi Irgunu – konspiracyjnej organizacji paramilitarnej, której duchowym ojcem był przywódca Partii Syjonistów-Rewizjonistów Włodzimierz Żabotyński. Jej program można streścić następująco: każdy Żyd ma prawo osiedlić się w Palestynie, tylko terror może powstrzymać agresję Arabów, tylko żydowska armia może doprowadzić do powstania niepodległego Izraela.

Ugrupowanie od 1936 r., stosując zasadę „ząb za ząb", przeprowadziło szereg zamachów w odpowiedzi na morderstwa Żydów dokonane w czasie arabskiego powstania. Wkrótce Levstein, po trwających kilka miesięcy szkoleniach, stał się jednym z głównych specjalistów Irgunu od tego typu operacji.

Kurs pod Andrychowem

Pod koniec lat 30. Żabotyński i kierownictwo Irgunu uznało, iż głównymi przeciwnikami na drodze Żydów do własnego państwa są nie Arabowie, a Brytyjczycy, którzy ich szykanowali i wstrzymywali imigrację do Palestyny. Podjęto decyzję o stworzeniu zrębów profesjonalnej armii, która w przyszłości rozpocznie narodowowyzwoleńczą wojnę z Imperium. Jej przyszłe kadry szkoliły się m.in. w faszystowskich Włoszech i w Polsce.

Levstein był jednym z 26 dowódców Irgunu, którzy późnym latem 1938 r. przeszli czteromiesięczny kurs wojskowy pod Andrychowem. Odbywał się on w najgłębszej tajemnicy. Pod okiem polskich oficerów, w tym weteranów dywersji w czasie powstań śląskich, młodzi Żydzi nabywali podstawową wiedzę konieczną zarówno przy dowodzeniu regularną armią, jak i prowadzeniu walki w podziemiu. Uczono ich np. dowodzenia dużymi jednostkami wojskowymi, taktyki, budowania fortyfikacji i topografii. A także konstruowania bomb i pułapek wybuchowych.

Filar Lechi

W 1940 roku w Irgunie doszło do podziału. Ze względu na wojnę światową zdecydowano się wstrzymać operacje przeciw Brytyjczykom. Tylko około 100 bojowników postanowiło nie składać broni. Utworzyli oni organizację o nazwie Lechi. Na jej czele stał Abraham Stern, a Levstein został jego prawą ręką. Obaj wyszli na wolność w czerwcu 1940 r. i rozpętali kampanię terrorystyczną przeciwko Imperium. Levstein odpowiadał m.in. za dwie spektakularne akcje w Tel Awiwie: za napad na bank w centrum miasta, a także głośny zamach z 20 stycznia 1942 r., gdy jego bomba zabiła zwabionych w pułapkę trzech oficerów policji.

Ta ostatnia operacja rozwścieczyła brytyjskich funkcjonariuszy. Szybko wpadli na trop terrorystów. 27 stycznia policjanci aresztowali Levsteina, a 12 lutego zamordowali Abrahama Sterna. W kwietniu 1942 r. brytyjski trybunał wojskowy skazał Yaakova Levsteina na dożywocie za posiadanie broni (nic więcej mu nie udowodniono). Ten jednak nie zabawił długo za kratkami: w grudniu 1943 r. udało mu się zbiec z więzienia w Jerozolimie.

Pomogli Francuzi

W 1946 r. wyjechał do Paryża. Z dyskretną pomocą francuskich służb udało mu się przeprowadzić zamachy bombowe na War Office i Colonial Office w Londynie. W 1947 r. został aresztowany w Belgii, gdy przyłapano go na granicy z materiałami wybuchowymi wiezionymi na kolejną akcję. Anglicy chcieli doprowadzić do ekstradycji „Dynamite Mana" na Wyspy. Levstein znów miał szczęście. Wybronił się przed belgijskim sądem i po kilku miesiącach więzienia znalazł się na wolności. Wrócił do walczącego o przetrwanie młodego Izraela.

Wziął udział w wojnie z Arabami w 1948 roku. Izraelską armię opuścił w 1953 r. w randze pułkownika. Później pracował jako doradca ds. bezpieczeństwa dla różnych agend i firm. Zmarł 25 lutego 1985 roku. Pochowano go pod shebraizowanym nazwiskiem Yaacov Eliav.

eprasa.pl 99fb02d9a4

Piłka nożna Po przerwie zimowej piłkarska ekstraklasa wznawia grę. Czego oczekuje Radosław Majdan?

Liga w końcu wraca. Legia w opałach

Zbigniew Czyż
zbigniew.czyz@polskapress.pl

O rozgrywkach ekstraklasy, europejskich pucharach z udziałem polskich drużyn, a także reprezentacji Polski rozmawiamy z byłym bramkarzem kadry, ekspertem Radosławem Majdanem.

Już w piątek po przerwie zimowej wraca piłkarska ekstraklasa. Szczególna uwaga zwrócona zostanie na Legię Warszawa, której trenerem w grudniu został Marek Papszun. Warszawianie szybko wydostaną się ze strefy spadkowej?
Gdyby przed sezonem ktoś powiedział, że po rundzie jesiennej Legia będzie na przedostatnim miejscu, że przegra u siebie chociażby z Termaliką Nieciecza, chyba wszyscy stwierdziliby, że jest szalony, a jednak to stało się faktem. Myślę, że z utrzymaniem się nie będzie problemów. Patrząc na to, co działo się w Legii w ostatnich miesiącach i latach, a także na dokonania trenera Papszuna oraz jak sumiennie wykonywał swoją pracę w Rakowie, jestem przekonany, że dla obu stron to było dobre posunięcie.

Tabela ekstraklasy jest bardzo spłaszczona, do prowadzących Wisły Płock i Górnika Zabrze Legia traci jedenaście punktów, do miejsc gwarantujących awans do europejskich pucharów dziesięć. Będzie w stanie nawiązać walkę chociażby o puchary?
Łatwiej jest gonić jedną drużynę, ale gdy przed sobą masz peleton, to nie jest takie proste. Myślę, że o mistrzostwie Polski w Warszawie mogą zapomnieć, natomiast szans na awans do pucharów nie ma co jeszcze przekreślać, tym bardziej że nasza liga jest nieprzewidywalna. Jeżeli Legia wygra cztery, pięć pierwszych meczów, jeszcze wiele jest możliwe. Wszystko w nogach samych piłkarzy.

Ma Pan swoją tezę, dlaczego w Legii jest jak jest? Klub z ogromnym potencjałem, budżetem, niezłymi piłkarzami, a jednak często zmieniają się w niej trenerzy i wielkich sukcesów w ostatnich latach też nie ma.
Do Legii co rusz przychodzą nowi trenerzy, a ciągle coś nie gra. To dziwne, bo przecież w klubie są też dyrektorzy sportowi o uznanych nazwiskach. Myślę, że teraz pewne rzeczy się zmienią i Marek Papszun będzie decydował o wielu sprawach.

Legii jest potrzebny trener, który tych wiele spraw poukłada, tyle że w innych okolicznościach?
Niewątpliwie Marek Papszun jest człowiekiem charyzmatycznym, który lubi grać według własnych zasad. W Legii wcześniej wiele koncepcji i planów się nie sprawdziło, więc być może jest jej potrzebny ktoś, kto powie, jak to się robi.

Bardzo duże napięcie panuje między kibicami Legii a jej prezesem Dariuszem Mioduskim. Właściciel klubu z Łazienkowskiej przetrzyma ten trudny okres?
Trzeba zdawać sobie sprawę, jak dużym ciosem jest dla klubu brak finansów chociażby z powodu braku awansu do kolejnej rundy w Lidze Konferencji. Ale to jest piłka nożna, w której wszystko szybko się zmienia. Jeśli Legia zacznie wygrywać, to kto wie, może już za rok Dariusz Mioduski będzie chwalony za to, że zatrudnił trenera Papszuna. Jeżeli w przyszłym sezonie Legia będzie walczyła o mistrzostwo i je zdobędzie, to wszyscy zapomną o tym, co jest dzisiaj. W Legii od zawsze jest tak, że albo jesteś mistrzem, albo pierwszym przegranym. Niewątpliwie przed całym klubem, prezesem i piłkarzami nerwowe tygodnie.

Po pierwszej części sezonu rozgrywek ekstraklasy liderem tabeli jest Górnik Zabrze

FOT. SZYMON STARNAWSKI

W Legii niebawem należy się spodziewać sporego przewietrzenia szatni?
W przerwie zimowej do tego nie doszło, bo było mało czasu. Klub rozstał się dotąd tylko z dwoma piłkarzami, ale myślę, że latem odejdą kolejni, a przyjdzie na ich miejsce co najmniej pięciu, sześciu nowych zawodników. Legia potrzebuje kilku wiodących i charyzmatycznych postaci, jak na przykład Josue, zwłaszcza w obliczu presji, z którą piłkarze z Łazienkowskiej muszą sobie radzić. Niestety, niektórzy zawodnicy z tą presją sobie nie poradzili. Legia potrzebuje konkretnych zmian, a nie tylko pudrowanych.

W przerwie zimowej nie brakowało w ekstraklasie ciekawych transferów. Jednym z nich było przyjście do Widzewa Łódź z Panathinaikosu Ateny reprezentacyjnego bramkarza Bartłomieja Drągowskiego.
To jest transfer, który potwierdza słowa właściciela klubu Roberta Dobrzyckiego, że chce mieć jakościowych zawodników, którzy dadzą mu potencjał i wynik. Nie jest to dla mnie żadne zaskoczenie. To, co dziś dzieje się w Widzewie, który mocno inwestuje w pozyskiwanie kolejnych piłkarzy, pokazuje, że w przyszłym sezonie ta drużyna będzie się mocno liczyła nie tylko w walce o puchary.

W lutym Lech zagra z fińskim KuPS Kuopio, a Jagiellonia zmierzy się z Fiorentiną w barażach o awans do 1/8 finału Ligi Konferencji. Dzięki udanym występom w fazie zasadniczej bezpośrednio do 1/8 finału zakwalifikował się Raków. Jaka to będzie wiosna dla polskich drużyn w Europie?
Myślę, że podobnie jak w poprzednim sezonie jedna z naszych drużyn także teraz zajdzie daleko. Liga Konferencji to rozgrywki, które budują w naszej ekstraklasie ranking. Jestem przekonany, że dzięki niej polski zespół maksymalnie za trzy lata zagra w Champions League. Mistrz Polski będzie musiał rozegrać tylko jeden dwumecz w czwartej rundzie i myślę, że wtedy ten wymarzony cel uda się zrealizować.

26 marca reprezentacja Polski w pierwszym meczu barażowym o awans na mistrzostwa świata podejmie Albanię na PGE Narodowym. Jak ocenia Pan szanse naszej kadry w tym pojedynku?
Nie obawiam się jakoś szczególnie meczu z Albanią. To, co cieszy, to że do dobrej formy wraca coraz więcej naszych piłkarzy, między innymi odgrywający coraz większą rolę w Interze Mediolan Piotr Zieliński. Pytanie, kto stanie w bramce: czy Łukasz Skorupski, czy Kamil Grabara zbierający coraz lepsze recenzje w Bundeslidze? Na pewno selekcjoner ma też kilka innych znaków zapytania, jak chociażby to, kto zagra w parze stoperów obok Jana Bednarka.

Reprezentacja Polski pojedzie na mundial do USA, Kanady i Meksyku?
W ewentualnym drugim decydującym spotkaniu na wyjeździe ze Szwecją lub Ukrainą nie będzie łatwo. Nasz zespół będzie musiał wspiąć się na wyżyny umiejętności. Jedni i drudzy są groźni, choć jak najbardziej do pokonania. Niestety, nie będziemy mieć atutu swojego boiska, ale na wyjazdach też potrafimy grać i zwyciężać.
©℗

PKO BP Ekstraklasa budzi się ze snu zimowego. Hitem mecz Widzew – Jagiellonia

Jakub Jabłoński
redakcja@polskapress.pl

Wraca to, co tygryski kochają najbardziej - PKO BP Ekstraklasa! Odmieniona Legia chce odbić się od dna pod wodzą Marka Papszuna, który zadebiutuje w starciu z Koroną Kielce.

Najaktywniejszy w zimowym okienku, naprawdę solidnie wzmocniony Widzew także liczy na przełamanie, a zagadką pozostaje Jagiellonia.

Ekstraklasowi piłkarze po ponad miesiącu wracają do ligowych zmagań. W ostatnich tygodniach kluby przygotowywały się do rundy wiosennej w dobrych warunkach - najliczniejsza delegacja trenowała w Turcji, Legia i Piast wybrały Hiszpanię, Radomiak Portugalię, a Lech Poznań poleciał jeszcze dalej - do Zjednoczonych Emiratów Arabskich.

Pierwsza weryfikacja formy będzie miała miejsce od najbliższego piątku. I już na dzień dobry w Radomiu po raz pierwszy w historii otwarty zostanie cały stadion. Aż 13 982 miejsca dopuszczono do sprzedaży, mecz z Arką Gdynia odbędzie się więc oczywiście z udziałem kibiców gości.

Najciekawszą propozycją 19. kolejki ekstraklasy będzie jednak starcie wzmocnionego za działające na wyobraźnię pieniądze Widzewa Łódź z Jagiellonią Białystok. Drużyna z Podlasia straciła Oskara Pietuszewskiego, który przeniósł się do FC Porto za około dziesięć milionów euro (wraz z bonusami), a coraz głośniej mówi się również o możliwym odejściu napastnika Afimico Pululu jeszcze tej zimy. W Widzewie natomiast możemy spodziewać się debiutów aż sześciu nowych piłkarzy w zespole prowadzonym przez Igora Jovicevicia.

Łódzcy kibice ostrzą sobie zęby na występ skrzydłowego, Ghańczyka Osmana Bukariego, sprowadzonego za 5,5 miliona euro. Ciekawie zapowiada się też sentymentalny pojedynek z udziałem bramkarza Bartłomieja Drągowskiego, który reprezentował w przeszłości barwy klubu z Białegostoku.

Liderująca Wisła Płock podejmie Raków Częstochowa, a Lech Poznań zmierzy się z Lechią Gdańsk.

19. KOLEJKA EKSTRAKLASY

Piątek, 30 stycznia:
18:00 Zagłębie Lubin - GKS Katowice (Canal+ Sport 3, Canal+ Sport 5);
20:30 Radomiak Radom - Arka Gdynia (Canal+ Sport, Canal+ Sport 3, Canal+ 4K).
Sobota, 31 stycznia:
14:45 Górnik Zabrze - Piast Gliwice (Canal+ Sport 3);
17:30 Widzew Łódź - Jagiellonia Białystok (TVP Sport, tvpsport.pl, aplikacja mobilna i smart TV; Canal+ Sport 3);
20:15 Lech Poznań - Lechia Gdańsk (Canal+ Sport 3, Canal+ 4K).
Niedziela, 1 lutego:
12:15 Motor Lublin - Pogoń Szczecin (Canal+ Sport 3);
14:45 Wisła Płock - Raków Częstochowa (Canal+ Sport 3);
17:30 Legia Warszawa - Korona Kielce (Canal+ Premium, Canal+ Sport 3, Canal+ 4K).
Poniedziałek, 2 lutego:
19:00 Bruk-Bet Termalica Nieciecza - Cracovia (Canal+ Sport 3, Canal+ Sport 5).
©℗

eprasa.pl 99fb02d9a4

W Łodzi na bogato, w Rakowie reprezentant Polski

Jacek Czaplewski
redakcja@polskapress.pl

Od piątku będziemy ponownie emocjonować się meczami wracającej po przerwie PKO BP Ekstraklasy. Kluby przed wznowieniem rozgrywek gorączkowo kompletują swoje kadry.

W weekend transferami zaskoczyli działacze Cracovii, Górnika Zabrze, Rakowa Częstochowa czy wreszcie Widzewa Łódź, który jako jedyny w stawce nie szczędzi milionów - euro, nie złotych.

Zimujący na drugim miejscu Górnik zafundował swoim kibicom frapującą sobotę. Od rana zapowiadał tajemniczy powrót, by dopiero wieczorem odkryć karty. Przez cały dzień trwała zatem zabawa w zgadywanie. Najczęściej powtarzano nazwisko... Arkadiusza Milika. Na tego piłkarza przy Roosevelta przyjdzie jednak jeszcze zaczekać. Bohaterem niespodzianki okazał się bowiem Paweł Bochniewicz zaprezentowany podczas internetowej transmisji. 29-latek przez lata występował w barwach holenderskiego SC Heerenveen. Ostatni rok stracił z powodu kontuzji kolana.

„Dziękuję bardzo za wyjątkowo miłe przyjęcie, ale miesiąc miodowy trwa do pierwszego błędu" - napisał w sieci. To już szósty transfer zabrzan w zimowym okienku.

Na pierwszy ruch zdecydowała się natomiast Cracovia. Z Brazylii ściągnęła byłego zawodnika m.in. Miedzi Legnica i Rakowa Częstochowa, Szwajcara z hiszpańskim paszportem Maxime'a Domingueza. 29-latek ma pomóc w drugiej linii. Tyły, tak jak Górnik, postanowił za to zabezpieczyć wspomniany Raków. I to w zaskakujący sposób. Z wolnego transferu zakontraktował bowiem Pawła Dawidowicza. 30-latek jesienią stracił miejsce w reprezentacji Polski, ponieważ nie miał w ogóle klubu. Latem po miesiącu rozstał się z saudyjskim Al-Hazm, nie rozgrywając dla niego nawet jednego meczu. Teraz chce się odbudować i dzięki temu wrócić do kadry.

Kto wie, czy najlepszego środka pola wiosną nie będzie

FOT. SYLWIA DĄBROWA/POLSKA PRESS

Paweł Dawidowicz to bez wątpienia zawodnik z dużym międzynarodowym obyciem

mieć z kolei Widzew Łódź. Do Juljana Shehu i sprowadzonego z FC Kopenhagi Lukasa Leragera dołączył bowiem jego rodak - Emil Kornvig. Duńczyk jeszcze w czwartek strzelił gola dla norweskiego Brann w Lidze Europy. Wydano na niego aż 3 mln euro. To jeden z najdroższych transferów w historii ekstraklasy. Więcej zapłacono dotąd tylko za Osmana Bukariego (5,5 mln) - też nowego gracza Widzewa. Ten zespół znajdujący się tuż nad strefą spadkową czeka na wiosnę od razu prawdziwy test, bo do Łodzi przyjedzie Jagiellonia Białystok, która w ostatnim sparingu pokazała moc. Co więcej, według ostatnich doniesień może przechwycić byłego zawodnika m.in. Śląska Wrocław Nahuela Leivę, łączonego z liderem, a więc Wisłą Płock.

Żadnego transferu nie dokonali dotąd działacze Motoru Lublin, Piasta Gliwice i Zagłębia Lubin.

Zaczekać aż do 16 lutego mogą z kolei wszyscy zainteresowani aukcjami charytatywnymi 34. Finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Na długiej liście nie brakuje piłkarskich akcentów. Póki co zawrotną sumę osiągnął... zegarek słynnego Ronaldinho, licytowany już w przeddzień finału za nad 74 tysięcy złotych. Szczęśliwy zwycięzca otrzyma go z rąk legendy, u boku której będzie mógł wystąpić w zamkniętym treningu poprzedzającym kwietniowy weekend w Chorzowie z udziałem byłych gwiazd futbolu.

Kwotę 60 tys. złotych - także już w przeddzień finału WOSP - przekroczyła natomiast koszulka Roberta Lewandowskiego z niedawnego finału o Superpuchar Hiszpanii, w której „Lewy" strzelił gola Realowi Madryt. Licytować można też choćby dwa zaproszenia od... prezesa PZPN Cezarego Kuleszy do jego loży na marcowy mecz w Warszawie z Albanią w barażach o MŚ 2026. Pytanie, jaką ostatecznie osiągną cenę, pozostaje oczywiście otwarte.

©℗

Ligi zagraniczne: Zieliński bohaterem Interu, klęski Bayernu i Liverpoolu

Damian Świderski
redakcja@polskapress.pl

W ligach TOP 5 na czoło wysuwa się wybitny mecz Piotra Zielińskiego przeciwko Pisie (6:2), a także klęski Bayernu Monachium i Liverpoolu. Debiut w Stade Rennes zaliczył Sebastian Szymański.

ANGLIA

W 23. serii gier w Anglii West Ham nie dał szans Sunderlandowi. Młoty wygrały 3:1, dzięki między innymi świetnemu Jarrodowi Bowenowi. West Ham jest coraz bliżej opuszczenia strefy spadkowej. Tottenham nie może się podnieść w tym sezonie z wielkiego kryzysu. Koguty tylko zremisowały z 19. w tabeli Burnley 2:2.

Manchester City po przegranej 0:2 w Derbach z United wygrał z ostatnim w tabeli Wolverhampton 2:0 dzięki bramkom Marmousha i Semenyo. Fulham zbliżyło się do czołowej piątki dzięki wygranej nad Brighton 2:1.

W hicie soboty Liverpool miał nadzieję na wygraną i zbliżenie się do Aston Villi i Manchesteru City, ale sensacyjnie uległ Bournemouth 2:3. Decydującą bramkę strzelił Adli w 95. minucie meczu.

PREMIER LEAGUE

Wyniki 23. kolejki: West Ham - Sunderland 3:1, Tottenham - Burnley 2:2, Manchester City - Wolverhampton 2:0, Fulham - Brighton 2:1, Liverpool - Bournemouth 2:3.

FRANCJA

W lidze francuskiej rozegrano mecze 19. kolejki. PSG męczyło się ze słabym Auxerre, ale dzięki Bradleyowi Barcoli Paryżanie wygrali 1:0. Świetne dotąd RC Lens tym razem rozegrało słaby mecz i niespodziewanie uległo 1:3 Marsylii. Le Havre sensacyjnie postawił się AS Monaco i zremisował 0:0.

W meczu Rennes - Lorient wystąpiło dwóch Polaków: Przemysław Frankowski i Sebastian Szymański.

Dla Szymańskiego był to debiut w nowych barwach. 26-latek wszedł na murawę w 77. minucie, zmieniając Mahdiego Camarę. Zagrał poprawnie, choć nie oddał żadnego strzału. Frankowski wybiegł na murawę w podstawowym składzie i grał do 59. minuty. Rennes przegrało 0:2.

LIGUE 1

Wyniki 19. kolejki: Auxerre - PSG 0:1, Le Havre - Monaco 0:0, RC Lens - Marsylia 1:3, Rennes - Lorient 0:2.

FOT. GRZEGORZ WAJDA

Rewelacyjnie zagrał Piotr Zieliński. Strzelił bramkę z karnego na 1:2 i miał ponad 90 procent celnych podań

NIEMCY

W Bundeslidze na starcie kolejki St. Puli z Arkadiuszem Pyrką i Adamem Dźwigałą w składzie zremisowało bezbramkowo z HSV Hamburg. Najwyżej oceniony w swym zespole Dźwigała zszedł z boiska w 65 minucie z żółtą kartką. Pyrka dotrwał na placu gry do końcowego gwizdka.

W meczu Mainz - VFL Wolfsburg nieźle zaprezentował się Kamil Grabara. Reprezentant Polski obronił rzut karny, ale Mainz było wyraźnie lepsze i wygrało z Wilkami 3:1. Kacper Potulski cały mecz przesiedział na ławce rezerwowych.

Natomiast największą sensację sprawił Augsburg. Walczący o utrzymanie klub wygrał na Allianz Arenie z Bayernem Monachium 2:1. Goście, którzy do przerwy nieznacznie przegrywali, decydujący szturm w derbach Bawarii przeprowadzili w końcowym kwadransie, gdy na listę strzelców wpisali się Arthur Chaves i Han-Noah Messengo. Ten drugi wynik spotkania ustalił w 81. minucie.

BUNDESLIGA

Wyniki 19. kolejki: St. Puli - HSV 0:0, RB Lipsk - Heindenheim 3:0, Hoffenheim - Eintracht Frankfurt 3:1, Bayer - Werder 1:0, Borussia Dortmund - Union Berlin 3:0, Mainz - VFL Wolfsburg 3:1, Augsburg - Bayern Monachium 2:1.

HISZPANIA

W lidze hiszpańskiej Levante wygrało ważny mecz w walce o utrzymanie z Elche. Skończyło się 3:2 po dramatycznej końcówce. Gdy w 2. minucie doliczonego czasu Adam Boayar doprowadził do wyrównania, wydawało się, że bardziej zadowoleni z murawy zejdą goście. Cztery minuty później do bramki Elche trafił jednak Alan Matturro.

Valencia również pokonała Espanyol 3:2, a decydująca bramka także padła w ostatnich sekundach z rzutu karnego.

Real Madryt dzięki dubletowi Kyliana Mbappe wygrał z Villarreal 2:0. Królewscy, którzy kilka dni temu skompromitowali się z Albacete i niedawno zmienili trenera, nadal oczywiście liczą się w walce o tytuł. W zależności od tego, kto pierwszy rozgrywa dany mecz w ligowej kolejce, zmieniają się na prowadzeniu z Barceloną.

LA LIGA

Wyniki 21. kolejki: Levante - Elche 3:2, Osasuna - Rayo 3:1, Valencia - Espanyol 3:2, Sevilla - Athletic Bilbao 2:1, Real Madryt - Villareal 2:0.

WŁOCHY

W lidze włoskiej Lecce zanotowało bezbramkowy remis z Lazio. Nawet na ławce - niestety - nie usiadł jednak Filip Marchwiński.

Wybitne mecze zagrali zawodnicy Como i Interu Mediolan. Como rozgromiło Torino aż 6:0, a Inter mimo tego, że przegrywał już 0:2 z Pisą, to ostatecznie także zdobył aż 6 goli. Rewelacyjnie zagrał Piotr Zieliński: strzelił bramkę z „11" na 1:2, a ponad 90 proc. jego podań było celnych. Został oceniony na 8,7.

SERIE A

Wyniki 22. kolejki: Lecce - Lazio 0:0, Cagliari - Fiorentina 2:1, Como - Torino 6:0, Inter - Pisa 6:2. ©℗

eprasa.pl 99fb02d9a4

Sporty zimowe gotowe do rywalizacji ze światem

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

Dzisiaj PKOl. zatwierdzi skład reprezentacji Polski na XXV Zimowe Igrzyska Olimpijskie, które organizują Mediolan i Cortina d'Ampezzo. 4 dni później odbędzie się jedyne przed wyjazdem ślubowanie.

Najwięcej – 21 zawodników – zgłosił Polski Związek Narciarski. Ekipa naszych łyżwiarzy z toru długiego i krótkiego będzie liczyć 14 sportowców.

Na zamknięcie systemu zgłoszeń cały czas czekają w Polskim Związku Łyżwiarstwa Figurowego. Jest szansa, że w konkursie drużynowym wystąpi para taneczna Sofia Dowhal i Wiktor Kulesza.

Narodowe komitety olimpijskie miały czas na rejestrację zawodników do 26 stycznia.

– Na tych igrzyskach mamy kilka realnych szans medalowych i kilka dyscyplin, które zawsze wywołują emocje – powiedział szef misji olimpijskiej, niegdyś chorąży reprezentacji Konrad Niedźwiedzki. – Myślę, że dla kibiców niemal codziennie będzie coś ciekawego.

Biathlon

Natalia Sidorowicz (AZS AWF Katowice), Joanna Jakieła (BKS WP Kościelisko), Kamila Żuk (AZS AWF Katowice), Anna Mąka (BKS WP Kościelisko), Jan Guńka (Turbacz XC), Konrad Badacz (Karkonosze Jelenia Góra), Grzegorz Galica (Turbacz XC) i Marcin Zawół (AZS AWF Wrocław).

Biegi narciarskie

Izabela Marcisz (SS Prządki Ski), Eliza Rucka-Michałek (MKS Istebna), Monika Skinder (MULKS Grupa Oscar Tomaszów Lubelski), Aleksandra Kołodziej (LKS Witów ski Mszana Górna), Dominik Bury (MKS Istebna), Sebastian Bryja (KS Obidowiec Obidowa) i Maciej Staręga (UKS Rawa Siedlce).

Bobsleje

Linda Weiszewski (Flota Gdynia) i Klaudia Adamek (Flota Gdynia).

Kombinacja norweska

Kacper Jarząbek (TS Wisła Zakopane) i Miłosz Krzempek (TS WSS Wisła).

Łyżwiarstwo figurowe

Jekatierina Kurakowa (MKS Axel Toruń), Władimir Somojłow (MKS Axel Toruń) i Julia Szczecinina/Michał Woźniak (UKŁ Spin Katowice).

FOT. ANDRZEJ BANAŚ/POLSKA PRESS

Dla Kai Ziomek-Nogal będą to już trzecie w karierze zimowe igrzyska olimpijskie

Łyżwiarstwo szybkie

Kaja Ziomek-Nogal (Cuprum Lubin), Martyna Baran (WTŁ Stegny Warszawa), Andżelika Wójcik (Cuprum Lubin), Karolina Bosiek (Pilica Tomaszów Mazowiecki), Natalia Czerwonka (Akademia Sportowego Rozwoju Natalii Czerwonki), Damian Żurek (Pilica Tomaszów Mazowiecki), Marek Kania (Fundacja ŁiSW Legia Warszawa), Piotr Michalski (AZS AWF Katowice) i Władimir Siemirunnij (Pilica Tomaszów Mazowiecki).

Narciarstwo alpejskie

Maryna Gąsienica-Daniel (TS Wisła Zakopane), Nikola Komorowska (AZS Zakopane)*, Piotr Habdas (Żywiecki Klub Narciarski).

*Narciarka alpejska Nikola Komorowska zrezygnowała z udziału w zimowych igrzyskach olimpijskich we Włoszech. W oświadczeniu przesłanym w niedzielę PAP zawodniczka wskazała na presję mediów i narastający hejt, który wpłynął na jej zdrowie psychiczne. Polski Związek Narciarski przyznał się do błędu przy pierwotnym ustalaniu składu alpejek i w zwolnione miejsce wyznaczył spełniającą kryteria Anielę Sawicką (KS MMS Dendysski).

Saneczkarstwo

3 zawodniczki + 3 zawodników.

Short track

Natalia Maliszewska (ŁKS Juvenia Białystok), Gabriela Topolska (ŁKS Juvenia Białystok), Kamila Sellier (Stoczniowiec Gdańsk), Michał Niewiński (ŁKS Juvenia Białystok) i Felix Pigeon (AZS KU Politechniki Opolskiej Opole).

Skialpinizm

Iwona Januszyk (Klub Skialpinistyczny Kandahar) i Jan Elantkowski (TKN Tatra Team).

Skoki narciarskie

Pola Bełtowska (AZS Zakopane), Anna Twardosz (AZS AWF Katowice), Kacper Tomasiak (LKS Klimczok Bystra), Kamil Stoch (KS Evenement Zakopane) i Paweł Wąsek (TS WSS Wisła).

Snowboard

Aleksandra Król-Walas (KS F2Dawidek Team.pl), Maria Bukowska-Chyc (AZS Zakopane), Oskar Kwiatkowski (AZS Zakopane) i Michał Nowaczyk (AZS Zakopane).

©℗

Dariusz Gęsior: W każdym roczniku jest numer jeden, ale nie każdy to Pietuszewski

Jacek Sroka
redakcja@polskapress.pl

Rozmowa z Dariuszem Gęsiorem, trenerem reprezentacji Polski U-15, który w przeszłości był mistrzem kraju z Ruchem Chorzów i Widzewem Łódź.

Zimą w polskiej piłce głośno było o transferze Oskara Pietuszewskiego do FC Porto. Widzi Pan w swojej kadrze jego potencjalnych następców?

Właśnie wróciłem z obozu Talent Pro w Turcji, w którym brało udział 40 chłopaków z trzech roczników: 2009, 2010 i 2011. Poprzednio bywał na takich zgrupowaniach Pietuszewski. Niektórzy z obecnych na obozie zawodników jeszcze niedawno trenowali z nim na takich wyjazdach organizowanych przez PZPN. Zawodnicy mogli przekonać się, że ta droga, by za chwilę coś znaczyć w piłce, nie jest długa, zresztą my im też to uświadamialiśmy. Może nie od razu, by grać w pierwszej reprezentacji jako 17-latek, natomiast być zawodnikiem „pchającym" się do ekstraklasy, grać w klubie i zasłużyć na dobry transfer. Chodzi o to, żeby wiedzieli, że to oni mają największy wpływ na swój rozwój.

Pan też miał okazję widywać Pietuszewskiego na tych obozach. Czym się wyróżniał?

Poznałem go, kiedy miał 14 lat. To nie jest tak, że co roku trafiają się tacy zawodnicy, jak Oskar. My wiemy, kto ma ponadprzeciętny talent. U niego było widać jednak nie tylko talent, ale i charakter. Trzy lata wcześniej miałem zawodnika mającego podobne parametry, zwód, inteligencję na boisku. Był chyba nawet lepszy, stanowiąc może i 50 procent wartości zespołu, natomiast szwankowało u niego podejście do gry i zaangażowanie. W każdym roczniku jest jakiś „numer 1", ale uważam, że indywidualności jest w naszej piłce za mało. Coraz mniej jest też niestety dzieci, a poza tym ich sprawność ogólna jest coraz słabsza.

Jak wygląda taki obóz dla najbardziej utalentowanych młodych polskich zawodników?

Bierze w nim udział po piętnastu chłopaków z kategorii U-15 i U-16 oraz dziesięciu z U-17, bo część tych 17-latków wyjeżdża już na zgrupowania ze swoimi klubami, dołączając do drużyn seniorów. Obóz organizowany jest przez PZPN co pół roku i naprawdę robi wrażenie. Bierze w nim udział spora grupa trenerów, w tym oczywiście selekcjonerzy tych kategorii wiekowych, ale nie ma tam zajęć taktycznych, są za to treningi wpływające na indywidualny rozwój. Były osobne zajęcia dla graczy na poszczególnych pozycjach – sam z racji swoich boiskowych doświadczeń prowadziłem razem z Radkiem Sobolewskim treningi ze środkowymi pomocnikami. Były treningi dwóch współpracujących ze sobą na bosku formacji, zajęcia z psychologiem i inne spotkania uświadamiające w zakresie treningu mentalnego. Dodatkową atrakcję stanowiły spotkania m.in. z selekcjonerami pierwszej reprezentacji Janem Urbanem i młodzieżówki Jerzym Brzęczkiem. Trener Urban miał pogadankę z chłopakami, a ci zadawali mu pytania.

FOT. JACEK SROKA

Dariusz Gęsior jako piłkarz był wicemistrzem olimpijskim i rozegrał aż 427 meczów w ekstraklasie

I o co pytali selekcjonera naszej kadry ci młodzi chłopcy?

Pytali, co jest najważniejsze, by stać się profesjonalnym piłkarzem. Trener odpowiedział, że umiejętności są oczywiście ważne, ale na pierwszym miejscu jest charakter. Sporo chłopaków, niemających wielkich umiejętności, dzięki zawziętości i charakterowi wyrobiło sobie markę. Może nie byli błyskotliwi, ale grali na bardzo dobrym poziomie. Czasem z kolei przepadali ci z wielkimi umiejętnościami technicznymi.

W obozach Talent Pro uczestniczą też piłkarze z klubów zagranicznych, którzy wyjechali z Polski albo urodzili się za granicą, ale mają polskie korzenie.

Nie zawsze kluby zagraniczne puszczają na takie konsultacje zawodników. Teraz tych spoza Polski było więcej niż zwykle. Bywa, że po takich wyróżniających się Polaków „pukają" reprezentacje innych krajów. Prowadząc wcześniej kadrę z rocznika 2008, miałem na jednym z turniejów Igora Tyjona z Blackburn Rovers, ale on już wcześniej wybrał grę dla Anglii. Prowadzimy rozmowy z rodzicami i z samymi chłopakami, ale nie zawsze da się ich przekonać, że u nas będą się lepiej rozwijali.

Ilu piłkarzy obserwuje szkoleniowiec kadry do lat 15?

Na pewno najwięcej spośród wszystkich selekcjonerów, bo w późniejszym wieku ta grupa obserwowanych piłkarzy zwykle się zawęża. W kręgu moich zainteresowań są wszyscy zawodnicy z tego rocznika. Oczywiście, nie znam wszystkich osobiście, ale jak ktoś powie nazwisko i klub, to na pewno go skojarzę, bo wszystkie mecze Centralnej Ligi Juniorów w tej kategorii, a nieraz i lig wojewódzkich, się obserwuje.
W jednym roczniku w dwa lata w reprezentacji zadebiutowało prawie 100 zawodników.

Są też jednak mecze nieoficjalne dla zawodników z danego rocznika, którzy urodzili się w drugiej połowie roku.

W PZPN każdy trener kadry U-15 czy U-16 prowadzi dwa zespoły. Jeden jest złożony z najbardziej wyróżniających się zawodników i drugi, tzw. future, gdzie znajdują są piłkarze, których rozwój fizyczny jest na poziomie niższym o rok, dwa, a czasem i 2,5 roku. To wielka różnica, dlatego oni rozgrywają swoje mecze. Trzeba im dawać szansę, pokazywać, że są dla nas ważni, bo w przyszłości może być z nich pociecha. Rozwój fizyczny ma znaczenie i trzeba wszystkich monitorować.

©℗

eprasa.pl 99fb02d9a4

Olimpijska forma w Inzell Żurka i Ziomek-Nogal

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

Damian Żurek i Kaja Ziomek-Nogal z medalami na 500 m i 1000 m Pucharu Świata w Inzell.

Damian Żurek zdobył w Inzell dwa złote medale na 500 m i srebrny na 1000 m. Tym samym sięgnął już po dziewięć „krążków" w sezonie 2025/2026.

Kaja Ziomek-Nogal wywalczyła złoto i brąz na 500 m.

Brązowy medal zgarnął również w niedzielnym wyścigu na 500 m Marek Kania.

Największe nadzieje Polski na igrzyska

26-letni zawodnik KS Pilica Tomaszów Mazowiecki, zdobywając w Inzell srebrny medal na 1000 m i dwa złote medale na 500 m, zajął drugie miejsce w całym cyklu Pucharu Świata na tych dystansach.

Na 500 m i 1000 m Żurek triumfował w styczniu w mistrzostwach Europy w swoim rodzinnym mieście. Panczenista z Tomaszowa Mazowieckiego jest jedną z największych polskich nadziei na medal w igrzyskach olimpijskich Mediolan-Cortina d'Ampezzo (6-22 lutego).

- Jestem bardzo zadowolony i cieszę się z dobrej dyspozycji na tych zawodach, tym bardziej że to ostatni start kontrolny przed igrzyskami olimpijskimi. Skupiam się na ostatnich szlifach. A czy w Mediolanie mogę być jeszcze szybszy? Zobaczymy. Mam nadzieję, że tak, ale czas pokaże - powiedział Żurek, cytowany na stronie Polskiego Związku Łyżwiarstwa Szybkiego.

Kania w niedzielę stanął na najniższym podium na 500 m. Polaków rozdzielił Amerykanin Jordan Soltz.

Kaja Ziomek-Nogal (MKS Cuprum Lubin) na 500 m najpierw w piątek była trzecia, a w niedzielę triumfowała, co pozowliło jej zakończyć klasyfikację generalną Pucharu Świata na tym dystansie na drugim miejscu.

Andżelika Wójcik (AZS AWF Katowice) uplasowała się na piątej i szóstej pozycji, a Martyna Baran (WTŁ Stegny) była dziesiąta i dziewiąta, natomiast Karolina Bosiek (Pilica Tomaszów Maz.) - trzynasta.

Rekord Polski Semirunnija na 5000 m

Reprezentujący Polskę Rosjanin Władimir Semirunnij (Pilica Tomaszów Maz.), złoty medalista mistrzostw Europy na 5000 m i srebrny na 1500 m, uzyskał 6.07,81, co pozwoliło mu zająć szóste miejsce. To czas lepszy od jego dotychczasowego najlepszego wyniku - 6.09,18, który był też rekordem Polski.

W dywizji A na 1500 metrów pojechała Natalia Czerwonka, która także zaprezentuje się na igrzyskach olimpijskich w Mediolanie, w znakomitym stylu dostała się do elity, gdzie ostatecznie zajęła osiemnaste miejsce.©℗

FOT. POLSKI ZWIĄZEK ŁYŻWIARSTWA SZYBKIEGO

Damian Żurek w PŚ w Inzell zdobył złoto i srebro

Faworyt odleciał konkurencji

Artur Bogacki
artur.bogacki@polskapress.pl

SKOKI NARCIARSKIE. **Konkurs indywidualny MŚ w lotach w Oberstdorfie potwierdził, że z naszymi skokami nie jest dobrze. Do tego wokół ogłoszenia kadry olimpijskiej są kontrowersje.**

FOT. MARCIN SZKODZIŃSKI

Słoweniec Domen Prevc w tym sezonie zdominował rywalizację skoczków narciarskich

Zacznijmy od powołań trenera Macieja Maciusiaka na igrzyska Mediolan - Cortina D'Ampezzo. Miał znacznie trudniejsze zadanie niż poprzednicy, bo wybierał nie pięciu, a tylko trzech zawodników, więc wiadomo było, że nie wszyscy (nie tylko skoczkowie) będą zadowoleni. Pewniakiem był jedynie najlepszy tej zimy w naszej ekipie, debiutujący w PŚ Kacper Tomasiak. Numerem 2 w kadrze był Kamil Stoch, skakał bez dawnego błysku, ale nieźle i dość obiecująco. Tyle że ostatnio w Zakopanem się pogubił, a w MŚ w lotach poprawy nie było widać.

Te dwa nazwiska nie budzą kontrowersji. Są one natomiast przy trzecim z powołanych - Pawle Wąsku. Nie można powiedzieć, że w tym sezonie skakał lepiej niż Dawid Kubacki czy Maciej Kot (Piotr Żyła i Aleksander Zniszczoł z tego wyścigu odpadli w zasadzie wcześniej), niemniej to on uzupełnił kadrę.

Najwyraźniej wzięto pod uwagę ranking olimpijski FIS (co zresztą zapowiadano przed sezonem), do którego punkty zdobywało się w zimie i lecie przez ostatnie kilkanaście miesięcy, a to Wąsek, mimo gorszej formy obecnie, był w nim najwyżej ze wszystkich Polaków. Ponadto, w odróżnieniu od Kota i Kubackiego to zawodnik - choć to brutalne stwierdzenie - lepiej rokujący na przyszłość. W tym roku kończy 27 lat, a koledzy z kadry - 35 i 36. Do tego oni nie są w aż takiej dyspozycji, by dawać nadzieję na walkę o czołowe lokaty.

- Ja muszę to przyjąć na klatę. Wiem, jak skakałem od początku sezonu, wiem, że nie dałem trenerowi wystarczających argumentów, żeby dostać ten kredyt zaufania na igrzyska. Raz taki kredyt dostałem, wróciłem z medalem, może teraz ktoś inny tego potrzebuje, żeby też mógł osiągnąć fajny wynik - tak Dawid Kubacki ocenił decyzję przed kamerą Eurosportu.

Kadra na IO została podana tuż przed MŚ w lotach. Do Oberstdorfu nie pojechali Tomasiak i Wąsek. W konkursie indywidualnym na mamuciej skoczni Polacy nie odegrali większej roli (niedzielna drużynówka zakończyła się po zamknięciu wydania). Cała zgłoszona czwórka awansowała do konkursu, ale patrząc na skoki i formę, można było mieć obawy, czy przebrną pierwszą serię. Ostatecznie szybko odpadli Zniszczoł (33.), Stoch (34.) i Kubacki (35.).

Do dalszej rywalizacji - łącznie cztery serie przez dwa dni - dostał się tylko Żyła. Na półmetku był 16., z pewną szansą na powalczenie o czołową dziesiątkę, do której tracił 13,4 pkt. „Wewiór" takiego ataku nie przypuścił, ale generalnie ze swojego występu może być zadowolony. Słabszy wynikowo był tylko trzeci skok (188,5 m), po nim w praktyce mógł zapomnieć o „10". Po finałowej serii Polak ostatecznie poprawił się o jedno „oczko" był 15.

Bohaterem mistrzostw świata został Słoweniec Domen Prevc. Lider klasyfikacji Pucharu Świata, na lotach w Oberstdorfie rządził niepodzielnie, zdeklasował konkurencję. Po pierwszym dniu prowadził z przewagą 14,3 pkt nad Renem Nikaido. W pierwszym skoku w sobotę zszokował obserwatorów i w zasadzie przyklepał złoto. Obniżono mu belkę startową o 4 pozycje, a i tak poleciał najdalej, na 232 m, o ponad 10 metrów więcej niż naciskający go Japończyk (ostatecznie był 3., wyprzedził go Norweg Marius Lindvik). W finale tak efektownie było, ale i tak wygrał w pięknym stylu, z ogromną przewagą - 59,5 pkt

Wyniki MŚ w lotach: 1. Domen Prevc (Słowenia) 905,4 pkt (204, 224,5, 232 i 224,5 m), 2. Marius Lindvik (Norwegia) 845,9 (226,5, 212, 221 i 213,5 m), 3. Ren Nikaido (Japonia) 842,4 (230,5, 224,5, 221,5 i 220 m), 4. Jan Hoerl (Austria) 818,8 (207, 230, 211,5 i 224 m), 5. Stephan Embacher (Austria) 811,5 (209, 204,5, 212,5 i 227,5 m)... 16. Piotr Żyła (Polska) 763,9 (211, 206,5, 188,5 i 212 m), 33. Aleksander Zniszczoł (Polska) 163,7 (195 m), 34. Kamil Stoch (Polska) 162,2 (191,5 m), 35. Dawid Kubacki (Polska) 161,1 (192,5 m). ©℗

Dramat Maryny Gąsienicy-Daniel. Biało-Czerwoni bez błysku przed igrzyskami

Zbigniew Czyż
zbigniew.czyz@polskapress.pl

Maryna Gąsienica-Daniel nie ukończyła slalomu giganta w czeskim Szpindlerowym Młynie, zaliczanego do alpejskiego Pucharu Świata. Polka po pierwszym przejeździe była szósta.

32-letnia zawodniczka wypadła z trasy w drugim przejeździe. Wygrała Szwedka Sara Hector, wyprzedzając Amerykanki, Paulę Moltzan oraz słynną Mikaelę Shiffrin. Gąsienica-Daniel zajmuje 26. miejsce w klasyfikacji generalnej. Biorąc pod uwagę tylko slalom gigant, Polka jest 10. W całym cyklu prowadzi Shiffrin, a w tej konkurencj liderką jest Scheib. W slalomie zadebiutowała Aniela Sawicka, zajmując 38. miejsce, wygrała Shiffrin.

Polskie skoczkinie znowu słabo

Mizernie zaprezentowały się Polki w skokach narciarskich podczas Pucharu Świata w japońskim Sapporo. W pierwszym dniu rywalizacji, Anna Twardosz była 32., a Pola Bełtowska odpadła już w kwalifikacjach. Zwyciężyła Słowenka Nika Prevc. W niedzielę Twardosz zajęła 33. miejsce, Bełtowska była 40. Ponownie wygrała Prevc, która prowadzi też w klasyfikacji generalnej. Twardosz jest 24. Bełtowska zajmuje 50. miejsce.

Saneczkarze poza „10"

Wojciech Chmielewski, Michał Gancarczyk, Nikola Domowicz i Dominika Piwkowska zajęli dziewiąte miejsce podczas zawodów Pucharu Świata w saneczkarstwie w niemieckim Oberhofie.

W parach mieszanych Mateusz Sochowicz i Klaudia Domaradzka zajęli 14. pozycję. W rywalizacji dwójek Domowicz i Piwkowska były 13., a Chmielewski i Gancarczyk uplasowali się na 14. miejscu.

Biatloniści nieco lepiej

Joanna Jakieła i Wojciech Skorusa zajęli ósme miejsce w supermikście podczas zawodów Pucharu Świata w czeskim Novym Mescie na Morave. Po dyskwalifikacji Niemców wygrali Finowie. Anna Mąka, Kamila Żuk, Jan Guńka i Marcin Zawół wywalczyli 12. lokatę w sztafecie mieszanej. Wygrali Włosi. W biegu indywidualnym na 12,5 km najlepsza z Polek Natalia Sidorowicz zajęła 11. miejsce. Kamila Żuk była 26., Anna Mąka - 40, a Joanna Jakieła - 74. W biegu na 15 km wśród mężczyzn Konrad Badacz był 22. Marcin Zawół 54., Wojciech Skorusa 60., a Jan Guńka 61.

W biegach bez finałów

Bardzo słabo wypadli Biało-Czerwoni w zawodach PŚ w biegach narciarskich w szwajcarskim Goms. Polskie sztafety kobiet i mężczyzn nie awansowały do finałów, w których startowało po 15 najlepszych duetów. Podobnie było w sprintach. Żadnemu z reprezentantów Polski nie udało się przebrnąć kwalifikacji. ©℗

eprasa.pl 99fb02d9a4

Tenis Świątek walczy o Karierowego Szlema. Grała też dla WOŚP

DRUGI TYDZIEŃ PO POLSKU

Zbigniew Czyż
zbigniew.czyz@polskapress.pl

Iga Świątek zagra w drugim tygodniu wielkoszlemowego turnieju Australian Open. W czwartej rundzie zmierzy się z reprezentantką gospodarzy Madisson Inglis.

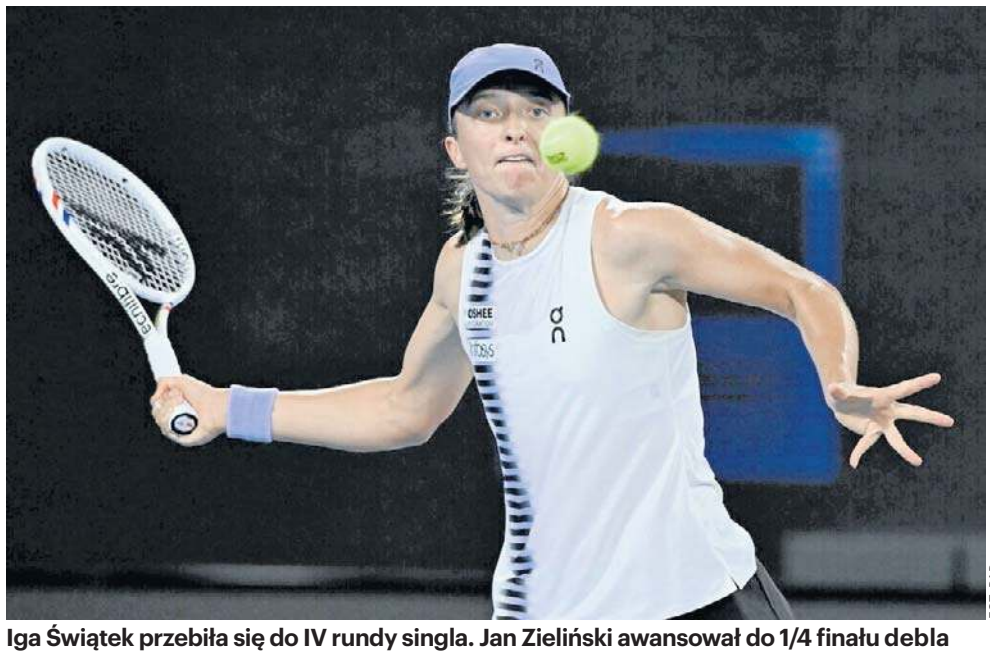

FOT. PAP

Iga Świątek przebiła się do IV rundy singla. Jan Zieliński awansował do 1/4 finału debla

Z szóstki reprezentantów Polski, którzy rozpoczęli wielkoszlemowy Australian Open w grze indywidualnej, w drugim tygodniu rywalizacji wystąpi tylko Iga Świątek. Z turniejem pożegnali się Linda Klimovicova, Magda Linette, Magdalena Fręch, Kamil Majchrzak i Hubert Hurkacz.

Świątek w pierwszej rundzie wygrała z Chinką Yue Yuan 7:6 (7-5), 6:3, w drugiej z Czeszką Marie Bouzkovą 6:2, 6:3. O awans do czwartej rundy zagrała z rozstawioną w tym turnieju Rosjanką Anną Kalinską. Polka mierzyła się z nią po raz czwarty i odniosła trzecie zwycięstwo. W pierwszym secie podopieczna trenera Wima Fissette'a nie miała żadnych problemów, zwyciężając 6:1. Druga partia zakończyła się takim samym wynikiem, tyle że dla starszej o trzy lata od Świątek rywalki. W decydującym secie raszynianka wróciła na właściwe tory, aKalinska nie była w stanie utrzymać wysokiego poziomu gry. Piłki, które wcześniej uderzała w kort w niemal czterdziestostopniowym upale, nie były już tak celne. Świątek wygrała pewnie 6:1, a cały mecz 2:1.

– To ekscytujące grać znów w czwartej rundzie. Mam nadzieję, że nie będziecie dla mnie zbyt brutalni – zwróciła się do miejscowej publiczności tuż po meczu Świątek.

Polka jeszcze nigdy nie wygrała Australian Open; tylko tego tytułu brakuje jej do wywalczenia Karierowego Wielkiego Szlema. W czwartej rundzie wiceliderka rankingu zmierzy się z reprezentantką gospodarzy Madisson Inglis, która do 1/8 finału awansowała bez wychodzenia na kort. Z powodu kontuzji wycofała się bowiem jej rywalka Japonka Naomi Osaka, której trenerem jest były szkoleniowiec naszej tenisistki Tomasz Wiktorowski. Świątek z Inglis grała wcześniej tylko raz i pokonała ją w 2021 roku w Adelajdzie 6:1, 6:3. Notowana na 168. miejscu w światowym zestawieniu 28-letnia Australijka rozgrywa w Melbourne turniej życia. Ma już za sobą siedem wyczerpujących spotkań, a do głównej drabinki turnieju singla przebijała się przez kwalifikacje. Urodzona w Perth zawodniczka osiągnęła największy sukces w karierze w Wielkim Szlemie – wcześniej dotarła do trzeciej rundy AO w 2022 roku.

Świątek podczas weekendu grała nie tylko na korcie, ale też dla Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Polka przekazała na licytację swoją rakietę z autografem oraz oryginalny ręcznik z Wimbledonu 2025 roku, w którym triumfowała. Rakietę na aukcję wystawiła też Magda Linette. W zbiórkę dla WOŚP zaangażowali się także inni wybitni polscy sportowcy, jak m.in. Robert Lewandowski czy Jeremy Sochan.

Adam Godlewski

„Krótka piłka"

NIELOTY NARCIARSKIE. I NIESMAK

Indywidualny konkurs na mistrzostwach świata w lotach narciarskich przelał czarę goryczy – wbrew bowiem nazwie imprezy trener Maciej Maciusiak wystawił do rywalizacji Piotra Żyłę i trzech nielotów. A w efekcie tego – więcej zawodników w decydujących seriach w Oberstdorfie mieli Finowie i Szwajcarzy, a my spadliśmy do poziomu ligi tworzonej przez „jedynaków" z Bułgarii, Francji, Włoch i Ukrainy – a zatem nacji, oczywiście przy całym dla nich szacunku, w skokach narciarskich odgrywających rolę marginalną.

Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy – w naszych skokach w przededniu zimowych igrzysk jest gorzej niż źle. Przed rokiem wydawało się, że kadra Biało-Czerwonych osiągnęła już dno pod wodzą Thomasa Thurnbichlera, którego zawodnicy mieli już serdecznie dość, i że pod kierunkiem lubianego przez reprezentantów Maciusiaka będzie mogła wyłącznie się odbić. Tymczasem w obecnym sezonie katastrofa jest jeszcze większa. A oceniając uczciwie – nie tylko jesteśmy ze skokami mega głęboko w dupie, ale też tak bardzo się tam urządziliśmy, że nie widać żadnych symptomów, iż w dającej się określić przyszłości stamtąd się wydobędziemy.

Trwający sezon ma wymiar sentymentalny dla Kamila Stocha, którego organizatorzy i kibice poszczególnych konkursów i całych międzynarodowych imprez żegnają z pompą i szacunkiem należnym wielkim mistrzom. I słusznie, bo nasz as był jednym z największych w historii całej dyscypliny, i na okazywane względy po prostu zasłużył osiągniętymi wynikami. Z wyraźnym jednak naciskiem na czas przeszły – bo właśnie BYŁ… I to już dość dawno temu.

Na to, aby wymienić sukcesy Kamila nie starczyłoby tu miejsca, ale tym bardziej powinien on – dla własnej higieny i legendy – zakończyć karierę po igrzyskach w Pekinie w roku 2022. A najpóźniej po sezonie 2022-23, kiedy jeszcze – zwłaszcza w okolicach Turnieju Czterech Skoczni – nawiązywał walkę z czołową 10 na świecie, ale po raz pierwszy od lat nie wskoczył na podium. Bo później już ani razu nie zmieścił się w TOP10. I obecnie jest mocno… przeterminowany. A przecież naprawdę wielcy mistrzowie – pokroju Adama Małysza – wiedzieli, kiedy ze sceny zejść. Niepokonanym, a w każdym razie bez szkody dla swego dorobku.

Szkoda, że Stochowi zabrakło takiej samoświadomości. W efekcie bowiem teraz widocznie brakuje mu klasy, i to nie tylko tej sportowej. Dziś oglądamy nieradzącego sobie z nowymi przepisami i/lub uwarunkowaniami sprzętowymi, a przede wszystkim młodszą konkurencją i niepotrafiącego wyjaśnić przyczyn tej bezradności gościa. I niestety, wielu kibiców – być może nawet większość – w pamięci zachowa tę wersję Kamila, a nie tę naprawdę magiczną z najlepszych sportowo lat. Naprawdę żal takiego rozmieniania się na drobne. A wręcz straszna jest wizja, że jednego z największych gigantów skoków w najsłabszej formie zobaczymy w pożegnalnych igrzyskach. Kamilu, po co ci to było?!

Jedyną osobą, która naprawdę w Oberstdorfie odleciała, w naszej ekipie okazał się selekcjoner Maciuciak, który podtrzymał deklarację, że w konkursach olimpijskich polscy skoczkowie będą walczyli o medale. Trenerze, litości! Naprawdę nie ma sensu mocniej się pogrążać…

Kazimierska pobiła rekord Chojeckiej sprzed 23 lat

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

Klaudia Kazimierska podczas mityngu w Bostonie, zajmując trzecie miejsce, poprawiła halowy rekord Polski w biegu na 1500 m sprzed 23 lat. Drugi na 800 m był Filip Ostrowski.

Klaudia Kazimierska, finalistka igrzysk olimpijskich 2024 w Paryżu i mistrzostw świata 2025 w Tokio, wypełniła minimum na halowe mistrzostwa świata w Toruniu (20-22 marca). W Bostonie finiszowała trzecia, ale bieg miał mocną obsadę. Wygrała z najlepszym w tym roku rezultatem Kenijka Dorcus Ewoi – 4.01,22.

Dotychczas rekord Polski należał do Chojeckiej i wynosił od 2003 roku 4.03,58. Czas Kazimierskiej jest lepszy o 1,8 s.

W tym samym mityngu Amerykanin Josh Hoey czasem 1.42,50 poprawił halowy rekord świata w biegu na 800 m. Poprzedni najlepszy rezultat należał od 1997 roku do Duńczyka Wilsona Kipketera – 1.42,67.

Drugi w tym biegu był Filip Ostrowski – 1.44,68. To najlepszy w tym roku wynik w Europie i drugi w historii polskiej lekkiej atletyki. Rekord kraju należy od 2012 roku do Adama Kszczota – 1.44,57.

Ostrowski, podobnie jak Kazimierska, wypełnił minimum na halowe mistrzostwa świata w Toruniu.

Porażka na Eurow futsalu

Futsalowa reprezentacja Polski przegrała z Węgrami 2:4 (2:1) w swoim pierwszym grupowym meczu mistrzostw Europy w słoweńskiej Lublanie.

Zespół węgierski – teoretycznie – powinien być najłatwiejszym rywalem Polaków w grupie, ale w sobotni wieczór okazał się lepszy.

Zawodnicy reprezentacji Polski w meczu z Węgrami oddali 49 strzałów na bramkę rywala. W pierwszej kolejce mistrzostw Europy więcej uderzały tylko dwa zespoły – Ukraina (53 strzały) i Czechy (66 strzałów).

Sebastian Leszczak z BSF-u ABJ Powiat Bochnia oddał po 6 celnych i niecelnych uderzeń, a 3 jego próby zostały zablokowane. Mikołaj Zastawnik z Rekordu Bielsko-Biała strzelał 11 razy, w tym 4 niecelnie.

Dla Biało-Czerwonych to trzeci z rzędu i czwarty w historii występ w mistrzostwach Europy. Turniej jest rozgrywany w Słowenii, Litwie i Łotwie. Polacy dotychczas nie wygrali meczu na Euro, mają na koncie dwa remisy.

Polska zagra w Lublanie jeszcze w Włochami (wtorek, godzina 20.30) i Portugalią (czwartek, godzina 20.30). Do ćwierćfinału awansują po dwie drużyny z każdej z czterech grup.

– Ten mecz przegraliśmy na poziomie mentalnym. Straciliśmy kapitana (Tomasza Kriezela po czerwonej kartce w 14. minucie – przyp. red.) i później moi zawodnicy nie grali już dobrze, nie czuli się pewnie – stwierdził selekcjoner Błażej Korczyński.

W Pucharze Świata w szpadzie w Dosze w 1/16 finału Alicja Klasik uległa Amerykance Anne van Brummen 13:15,Barbara Brych nie sprostała Francuzce Camille Nabeth 13:14, a Damian Michalak przegrał z Węgrem Tiborem Andrasfim 11:15. W Pucharze Świata w szabli w Salt Lake City Zuzanna Cieślar była 38., a Maria Więckiewicz zajęła 57. miejsce. Żadnemu z Panów nie udało się przebić do czołowej „64".©℗

FOT. KLAUDIA KAZIMIERSKA/FACEBOOK

Klaudia Kazimierska na mitingu w Bostonie poprawiła halowy rekord Polski na 1500 m sprzed 23 lat

eprasa.pl 99fb02d9a4

MAGAZYN

SPORTOWY

TYDZIEŃ

Po zawodach Pucharu Świata w Inzell Damian Żurek w gronie głównych faworytów igrzysk. Kaja Ziomek-Nogal też z nadziejami na podium **STR. 22**

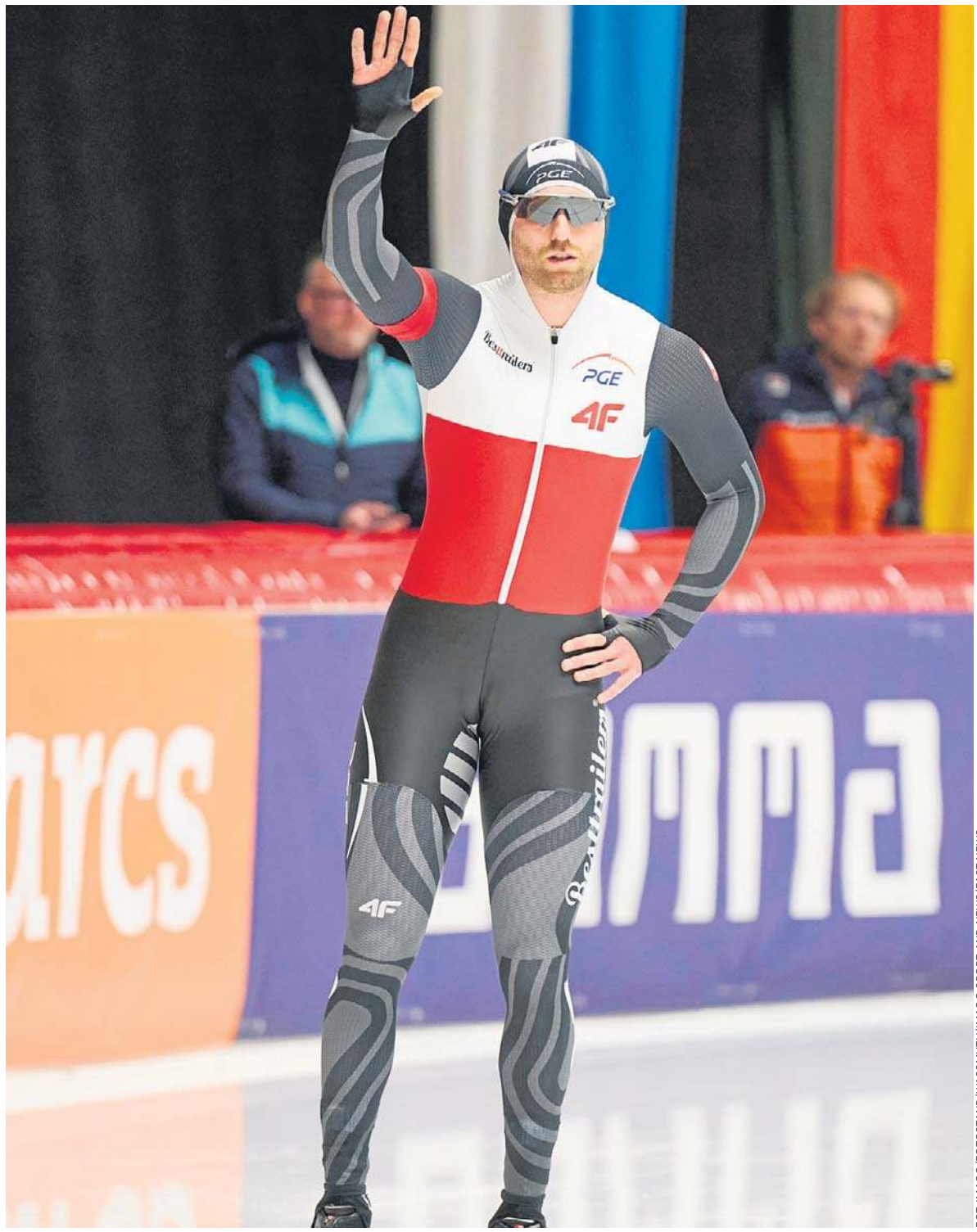

FOT. IMAGO/FOTOSTAND/WASSMUTH/IMAGO SPORT AND NEWS/EAST NEWS

Rośnie apetyt na olimpijskie medale

JUŻ W PIĄTEK NA BOISKA WRÓCĄ PIŁKARZE POLSKIEJ EKSTRAKLASY **STR. 19, 20**

Nie tylko Iga Świątek. Polscy tenisiści dotrwali do 2. tygodnia w Australian Open **STR. 23**

Poznaliśmy składy na ZIO w Mediolanie i Cortinie d'Ampezzo. Dziś konferecja PKOl. **STR. 21**

eprasa.pl 99fb02d9a4